

Co nie usprawiedliwia zakazów (m.in.) pornografii i ‘hate speech’?

Zwolennicy prawnych zakazów pewnych rodzajów publicznych wypowiedzi – np. pornografii i tzw. „mowy nienawiści” – często argumentują, że te (choć niekoniecznie tylko te [1]) typy ekspresji nie powinny być uznawane za przejaw korzystania z należnego skądinąd każdemu człowiekowi prawa do swobodnego wyrażania przekonań i rozpowszechniania informacji – tj. prawa do wolności słowa, czy jak kto woli wolności (swobody) wypowiedzi lub ekspresji - gdyż przyczyniają się one do czynów krzywdzących osoby należące do pewnych grup społecznych – takich, jak gwałcenie kobiet (względnie seksualne wykorzystywanie dzieci) i akty przemocy przeciwko ludziom należącym do mniejszości narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych, seksualnych, itp. Rzecz jasna, nie jest to jedyny argument używany jako uzasadnienie restrykcji wobec (m.in.) pornografii [2] i „hate speech” [3]. Rzecznicy karania za produkcję i rozpowszechnianie pornografii (w tym zwłaszcza pornografii łączącej seks z przemocą, lub ukazującej czyny uznawane przez prawo za przestępstwa seksualne przeciwko dzieciom), oraz za znieważanie takich czy innych grup narodowościowych, etnicznych, rasowych, religijnych, bądź „nawoływanie do nienawiści” przeciwko takim grupom twierdzą, że pornografia i „mowa nienawiści” „ucisza” kobiety i członków mniejszości [4], wyrządza takim osobom krzywdę psychiczną i generalnie rzecz biorąc narusza ich ludzką godność – stanowiącą w myśl artykułu 30 [polskiej konstytucji](#) [5] najważniejsze i najbardziej zasługujące na ochronę prawo każdego człowieka.

Z pewnością znaleźliby się też tacy, dla których wystarczającym powodem do zakazania pornografii i/lub „mowy nienawiści” [6] jest to, że tego rodzaju ekspresja jest czymś nieprzyzwoitym i niemoralnym – bez względu na to, czy prowadzi ona do jakichś dalszych, bardziej konkretnych szkód. Jednak mimo wszystko to właśnie argument, że „mowa nienawiści” i pornografia prowadzi do przemocy wydaje mi się szczególnie wart polemiki. I chyba nie tylko mi. O ile bowiem chyba mało kto z nas sądzi, że państwo – przy użyciu aparatu policyjno – prokuratorsko – sądowo - więziennego – powinno chronić dobre samopoczucie ludzi, zabraniając szerzenia twierdzeń obrażających takie czy inne rodzaje uczuć, to z pewnością znakomita większość z nas uważa, że państwo przy użyciu takich właśnie środków powinno chronić ich fizyczne bezpieczeństwo – którego naruszeniem są gwałty i ataki na ludzi z powodu ich przynależności narodowej, etnicznej, rasowej, wyznaniowej, orientacji seksualnej, itd.

Czy jednak argument że pornografia i/lub „mowa nienawiści” przyczynia się do przemocy jest (zakładając jakąś jego prawdziwość) tak mocną przesłanką zakazu takich typów ekspresji (bądź jednego albo drugiego) jak wielu ludziom zapewne się to wydaje? Osobiście twierdzę, że nie. Ale wcale nie z tego względu, bym uważał, iż pornografia i/lub „mowa nienawiści” nie prowadzi do złych rzeczy. Skłaniam się do tego, by – dla dobra argumentacji – przyjąć, że pornografia i/lub „mowa nienawiści” może leżeć u źródeł niedającego się tolerować zła –

takiego, jak przemoc wobec kobiet i przedstawicieli mniejszości. Moje obiekcje wobec zakazów wspomnianych rodzajów wypowiedzi (choć oczywiście nie tylko tych) wynikają przede wszystkim z wątpliwości co do tego, czy tego rodzaju związki przyczynowo – skutkowe, jakie ewentualnie rzecz biorąc mogą występować między np. pornografią i/lub „mową nienawiści” a aktami przemocy czy wandalizmu, są w stanie w przekonujący sposób uzasadnić ograniczenie jednego z najbardziej podstawowych ludzkich praw, jakim jest prawo do swobodnego wyrażania się i przekazywania innym swoich myśli i emocji.

Na temat natury, zakresu i zapewne nawet w ogóle występowania związków przyczynowo – skutkowych między pornografią względnie „mową nienawiści” a przemocą można by długo debatować, jednak cokolwiek byśmy nie uważali na ten temat, musimy się zgodzić co do jednego: związki te z pewnością nie są proste, jasne i bezpośrednie. Nawet najwięksi zwolennicy tezy, że pornografia przyczynia się do (np.) gwałtów nie twierdzą – bo byłoby to wbrew oczywistym faktom – że obejrzenie „świerszczyka” czy pornograficznego filmu w Internecie musi prowadzić do takiego czynu, jak zgwałcenie kobiety. Nikt nie zaprzeczy, że byli gwałciciele, którzy w życiu nie widzieli żadnej pornografii – i że byli ludzie wręcz nałogowo oglądający pornografię, którym do głowy nie strzeliła myśl o dokonaniu takiego czynu, jak gwałt. Nikt też nie twierdzi, że „mowa nienawiści” przeciwko mniejszościom – w rozumieniu wypowiedzi, które lżą, poniżają, bądź w taki czy inny sposób zachęcają do negatywnego nastawiania wobec tych mniejszości – w sposób bezpośredni i nieunikniony prowadzi do przestępczych zachowań wymierzonych w przedstawicieli owych mniejszości. Jakoś nie słyhać o tym, by ci, którzy stykają się z rasistowskimi czy np. wrogimi wobec homoseksualistów treściami np. w Internecie popełniali *en masse* przestępstwa przeciwko członkom tych grup, których dotyczy nienawistna propaganda. Jeśli coś można próbować twierdzić w odniesieniu do takich rodzajów wypowiedzi, jak pornografia czy „mowa nienawiści” to co najwyżej to, że tego typu ekspresja może – u niektórych podatnych na jej wpływ osobników – pobudzać przekonania i wywoływać lub podsycać emocje, które mogą czasem stać się podłożem krzywdzących innych ludzi działań. Może – to jeszcze wcale nie znaczy, że musi. Działacze organizacji walczących z rasizmem – takich, jak stowarzyszenia [„Nigdy Więcej”](#) i [„Otwarta Rzeczpospolita”](#) – z własnej woli stykają się z dużą niewątpliwie ilością „mowy nienawiści” – a jednak pod wpływem tej „mowy” nie stają się rasistami. Wielu aktywistów antypornograficznych oglądało olbrzymie ilości skrajnej, połączonej z przemocą pornografii – i wpływ takiej pornografii nie sprawił, że stali się oni gwałcicielami, czy tym bardziej mordercami kobiet.

A poza tym, jeśli ktoś nawet pod wpływem pewnych aktów ekspresji nabierze jakichś określonych przekonań – np. przekonań o niższości jakiejś grupy rasowej, bądź o tym, że kobiety (niektóre przynajmniej) chcą być gwałcone – to przecież przekonania te nie prowadzą w sposób automatyczny, nieuchronny i niezależny od osobistego postanowienia wyznających je osób, do popełniania przestępstw. Ludzie generalnie rzecz biorąc są istotami, którym Bóg dał (czy jak kto woli, natura dała) rozum, sumienie i wolną wolę. Nie jakimś doskonałymi (no, może *prawie* doskonałymi) robotami, które można zaprogramować na wykonywanie z góry określonego rodzaju zadań, lub wytresowanymi psami, które atakują po usłyszeniu od właściciela bądź opiekuna hasła „bierz go”.

Czy zatem tego typu związki przyczynowo – skutkowe między wypowiedziami jednych ludzi, a przestępczymi czynami innych, jakie – założmy dla dobra argumentacji – występują w przypadku pornografii i/lub „mowy nienawiści” mogą stanowić usprawiedliwienie dla prawnych zakazów wspomnianych typów wypowiedzi? Zwolennicy represjonowania za szerzenie „mowy nienawiści” i rozpowszechnianie pornografii (w tym szczególnie pornografii ukazującej czyny uznawane przez prawo za przestępstwa seksualne) uważają niewątpliwie, że tak. Lecz jeśli to ma być argument za zakazem np. brutalnej pornografii i/lub „mowy nienawiści” to powstaje pytanie, z jakiego niby powodu argument ten miałby usprawiedliwiać zakazy tylko takich typów ekspresji? Czy skrajna pornografia i „mowa nienawiści” to jedyne typy masowej komunikacji, które mogą mieć niebezpieczny wpływ na pewnych ludzi i w jakiś pośredni sposób przyczyniać się do dokonywania przez tych ludzi aktów wandalizmu i/lub przemocy?

Jedyna możliwa odpowiedź na to ostatnie pytanie brzmi: „nie”. Na zdrowy rozum, wiele rodzajów przestępczych działań byłoby mało – delikatnie mówiąc - prawdopodobnych bez wpływu, jaki na sprawców tych działań miały pewne przekazy ze strony innych. Nie byłoby prowadzących do demolowania całych miast rozruchów podczas obrad MFW, WTO, Banku Światowego, czy tzw. grupy G8 bez przekonania sprawców takich zejść do poglądu, że to właśnie polityka tych instytucji jest przyczyną bezrobocia, nędzy, wyzysku, głodu i niemal wszystkich nieszczęść krajów (głównie) Trzeciego Świata – i zejścia takie byłyby mniej prawdopodobne bez uprzedniego przekonania ich sprawców do tego, że da się „zbudować” „inny świat” – lepszy, niż ten „tworzony” przez wspomniane gremia [7]. Nie byłoby podpalania laboratoriów zajmujących się eksperymentami genetycznymi, bądź nanotechnologią bez przekonania sprawców takich przestępstw do opinii o zgubności manipulacji genetycznych, czy nanotechnologii. Nie byłoby zamieszek przeciwko budowie elektrowni atomowych lub transportowi wypalonego paliwa z elektrowni bez uprzedniego przekonania ich uczestników do tego, że materiały radioaktywne i energia nuklearna są czymś śmiertelnie groźnym dla ludzi i otaczającego ich środowiska. Nie byłoby podpalania klinik aborcyjnych i zabójstw lekarzy wykonujących zabiegi przerwania ciąży bez zasiania w umysły sprawców takich czynów przekonania, że [aborcja](#) jest czymś moralnie równoznacznym z morderstwem. Nie byłoby – z drugiej strony – ataków krewkich obrońców prawa kobiet do „swobodnego wyboru” na rzeczników zakazu aborcji bez przekonania takich osób do tego, że to właśnie zakaz przerywania ciąży jest oburzającą moralnie ingerencją w prawo kobiety do decydowania o swoim macierzyństwie. Nie byłoby podpalania rzeźni, sklepów z futrami czy laboratoriów, gdzie wykonuje się doświadczenia na zwierzętach, gdyby sprawcy takich przestępstw pod wpływem takich czy innych przekazów nie przejęli się losem zabijanych na żywność bądź futra lub wykorzystywanych w laboratoryjnych eksperymentach „braci mniejszych”. Czyny takie byłyby też mniej prawdopodobne bez przekonania ich sprawców do opinii, że to, co dzieje się w takich miejscach, jak rzeźnie, ферmy zwierząt futerkowych, czy laboratoria, gdzie eksperymentuje się na zwierzętach moralnie nie różni się niczym od tego, co działo się w Auschwitz. Do tego, że różnicowanie wartości życia ludzi i życia zwierząt jest oburzającym moralnie „szowinizmem gatunkowym”, że zwierzęta są „klasą” niesprawiedliwie wyzyskiwaną – jak niegdyś chłopci, robotnicy, czy Murzyni. Nie byłoby motywowanych koniecznością walki z globalnym ociepleniem podpalen samochodów

typu SUV, czy morderstwa, oraz próby morderstwa i samobójstwa dokonanych przez argentyńską parę [Francisco Lotero i Miriam Coletti](#) bez przekonania sprawców takich czynów do poglądów, że globalne ocieplenie jest czymś niezwykle groźnym i że jest ono wynikiem gospodarczej działalności ludzkiego gatunku. [8] Nie byłoby – rzecz jasna – islamskiego terroryzmu bez wpływu, jaki na jego sprawców wywarły treści głoszone przez Koran (słyszał ktoś jednak o propozycji, by rozpowszechnianie Koranu uznać za przestępstwo?). [9] I – tu głęboki ukłon w stronę zwolenników zakazów „mowy nienawiści” czy „propagowania faszyzmu” – nie byłoby przestępczych wyczynów radykalnych grup antyfaszystowskich typu „Antify” – w rodzaju choćby [pobicia osób składających kwiaty na grobie przywódcy przedwojennej „Zadruży” Jana Stachniuka w dniu 11 listopada 2005 r. na warszawskich Powązkach](#) – bez przekonania sprawców takich przestępstw do opinii o odradzającym się lub narastającym neonazistowskim zagrożeniu, do poglądu, że rasizm – nawet w postaci samych tylko słów, czy choćby jedynie myśli – „nie jest opinią, lecz przestępstwem”, do tego, że państwo wobec rasistów czy neonazistów jest zbyt pobłażliwe. [10]. Krótko mówiąc, do poglądów, które głoszą dalekie od propagowania czy tym bardziej stosowania przemocy (w każdym razie, w sensie przemocy bezprawnej) organizacje typu „Otwartej Rzeczypospolitej” czy stowarzyszenia „Nigdy Więcej”.

Skrajna pornografia i „mowa nienawiści” są więc co najwyżej jednymi z wielu rodzajów treści, których obecność w publicznym obiegu i wpływ na niektóre osoby może być w jakiejś mierze przyczyną dokonywanych przez te osoby aktów przemocy i bezprawia. Tak w ogóle, doprawdy trudno jest powiedzieć, jakie treści mogą, a jakie nie mogą mieć niebezpiecznego wpływu na jakichś psychopatów i psychicznie nie zrównoważonych osobników. Czy jest coś – na zdrowy rozum – mogącego pobudzać do przemocy w obrazie lekko ubranej kobiety, tańczącej wokół pomalowanej na złocisty kolor (bo przecież nie naprawdę złotej) figury cielaka? A jednak, gdy scenę taką – będącą jednym z fragmentów filmu Cecila B. DeMille’a „Dziesięcioro przykazań” – zobaczył niejaki [Heinrich Pommerenke](#) jego życiowe wątpliwości rozwiały się niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki: to kobiety są przyczyną całego zła na świecie, a jego misją jest ich karanie i dokonywanie na nich egzekucji. Po wyjściu z kina osobnik ten zarzął pierwszą ofiarę w pobliskim parku – a później dokonał jeszcze trzech zabójstw kobiet, dwunastu prób zabójstwa i dwudziestu jeden gwałtów. Jak widać w oparciu o ten przykład, nawet najbardziej niewinne – zdawałoby się na pierwszy rzut oka – treści mogą pobudzić niektórych osobników do makabrycznych aktów przemocy. I – z drugiej strony – wskazać można przykłady wypowiedzi na zdrowy rozum niebezpiecznych – nawołujących wprost do przemocy – które jednak do żadnej przemocy nie doprowadziły. Podczas rozruchów, które w sierpniu 2011 r. ogarnęły Londyn, dwóch użytkowników znanego portalu społecznościowego Facebook stworzyło na swych profilach „wydarzenia” mające polegać na dokonaniu w konkretnym czasie i w konkretnych miejscach aktów wandalizmu i przemocy. Jednak nikt z wielkiej liczby ich znajomych, zaproszonych na udział w tych wydarzeniach, nie dał się nakłonić do udziału w zamieszkach – jedyną reakcją niektórych osób było nie popełnienie przestępstw, lecz powiadomienie policji, która na profilach wspomnianych „wydarzeń” umieściła informację o swojej obecności i konsekwencjach dla ich ewentualnych uczestników. W 1997 r. samozwańczy „Komitet Samoobrony” oplakatował Radom ogłoszeniami zachęcającymi do linczu na dziesięciu

osobach skazanych w przeszłości za rozmaite przestępstwa. „*Okradziono cię?! Możesz, a nawet powinienes się zemścić. Państwo stoi nierządem. Aparat ścigania - bezsilny i skorumpowany. Pomóż sobie sam. Zabij któregoś z tych śmieci, bo on zabije kiedyś ciebie. Nie czekaj. Podpal mu mieszkanie, złam rękę, wybij oko. Zrób coś*”. Żadna z osób, których imię, nazwisko i adres widniały na wspomnianych plakatach nie padła ofiarą przestępstwa popełnionego przez kogoś, kto zapoznał się z treścią wspomnianego ogłoszenia.

Karanie za szerzenie „mowy nienawiści” i rozpowszechnianie skrajnej pornografii z tego powodu, że może się ona przyczyniać do przemocy jest więc równie „usprawiedliwione”, jak byłoby usprawiedliwione karanie z takiego powodu za rozpowszechnianie propagandy przeciwników globalizacji, obrońców praw zwierząt, przeciwników eksperymentów genetycznych czy nanotechnologii, „obrońców życia poczętego”, bądź rzeczników walki z globalnym ociepleniem. Wszystkie te typy ekspresji prowadzą do kształtowania się u niektórych osobników przekonań i wywoływania emocji, które w pewnych wypadkach motywują ich do popełnienia takich czy innych przestępstw. Czy zakazy tylko niektórych typów potencjalnie niebezpiecznych wypowiedzi nie są więc zakazaną poniekąd przez konstytucję [11] dyskryminacją z powodu poglądów?

Czy zakazy takiego rodzaju ekspresji, jak skrajna, łącząca seks z przemocą pornografia, lub „mowa nienawiści” przeciwko mniejszościom narodowościowym, etnicznym, rasowym, wyznaniowym, seksualnym itp. mogą – w jakimś przynajmniej stopniu – zapobiegać bezdyskusyjnie gorszemu, niż sama pornografia i „mowa nienawiści” złu, jakim jest przemoc wobec kobiet i członków takich czy innych mniejszości? Próbując odpowiedzieć na tak postawione pytanie warto sięgnąć do informacji na temat pewnych badań z dziedziny kryminologii. Odnośnie problemu, czy zakazy pornografii mogą ratować kobiety przed gwałtem warto spojrzeć się na Japonię. Japonia jeszcze w latach 70. i wczesnych 80. była krajem wyjątkowo purytańskim w odniesieniu do pornografii – zakazana była tam sprzedaż tak niewinnego pisma, jak amerykański „Playboy”. W późniejszych latach restrykcje wobec pornografii uległy jednak rozluźnieniu i gdzieś z początkiem lat 90. Japonia stała się krajem, w którym wszelkiego rodzaju pornografia – w tym także znacznie bardziej popularna w Japonii, niż w innych krajach pornografia łącząca seks ze scenami gwałtu i przemocy – jest łatwo dostępna. Czy niewątpliwý wzrost liczby ludzi, którzy oglądają pornografię – w tym także pornografię brutalną – sprawił, że wzrosła liczba gwałtów i innych przestępstw o podłożu seksualnym? Otóż, dokładnie na odwrót: jak w opublikowanym w 1999 r. artykule [Pornography, Rape and Sex Crimes in Japan](#) pisali Milton Diamond z Uniwersytetu Hawajów i Ayako Uchiyama z Narodowego Instytutu Badawczego Nauk Policyjnych w Tokio w latach 1972 – 1995 liczba odnotowanych przez japońską policję gwałtów spadła z 4677 do 1500, zaś liczba sprawców takich przestępstw z 5464 do 1600. Czymś szczególnie godnym odnotowania był wybitny – zarówno w liczbach bezwzględnych, jak i w odsetkach – spadek liczby gwałtów dokonanych przez osoby młodociane. O ile bowiem w roku 1972 osoby takie były sprawcami 33% wszystkich gwałtów, to w roku 1995 były one sprawcami już tylko 18% ogólnej – przeszło trzykrotnie mniejszej, niż w 1972 r. – liczby takich przestępstw. Jest to obserwacja ciekawa z tego względu, że wydaje się na zdrowy rozum – i o czym pisali zresztą autorzy wspomnianego artykułu – że jeśli istnieje jakaś grupa osób, na które pornografia

może wywierać szczególnie silny i czasem faktycznie niebezpieczny wpływ, to grupą tą są mężczyźni w wieku od 14 do 20 lat. Równie godny uwagi był spadek liczby przestępstw seksualnych przeciwko osobom, które nie ukończyły 13 roku życia. Według danych opublikowanych przez Diamonda i Uchiyamę o ile w roku 1972 r. osoby takie stanowiły 8,3% wszystkich ofiar gwałtów, to w roku 1995 już tylko 4% ofiar tego rodzaju czynów karalnych. Warto w tym kontekście odnotować, że w okresie tym Japonia nie miała żadnego prawa skierowanego przeciwko tzw. pornografii dziecięcej, zaś kraj ten słynie wręcz z produkcji materiałów uznawanych przez wiele osób z pornografią dziecięcą (choć w rzeczywistości nie będących nią) – np. kreskówek typu *hentai*.

Powie ktoś, że społeczeństwo japońskie jest inne od społeczeństw europejskich (czy społeczeństwa np. Stanów Zjednoczonych) i że z doświadczeń japońskich nie można w łatwy sposób wysuwać wniosków dla takiego kraju, jak choćby Polska. Ale znów: w przypadku zupełnie innego społeczeństwa i kulturowo od Japonii kraju, jakim są Stany Zjednoczone mierzona *per capita* liczba gwałtów spadła od początku lat 70 do połowy pierwszej dekady XXI wieku o 85% - przy olbrzymim wzroście dostępu do pornografii (choćby za sprawą Internetu) w tym samym okresie [12]. Na Stany Zjednoczone warto też zwrócić uwagę w kontekście „mowy nienawiści”. Jak wiadomo, podejście do kwestii prawnej dopuszczalności „hate speech” jest tym, co różni kraje europejskie od USA. Praktycznie wszystkie ustawodawstwa krajów Starego Kontynentu przewidują kary za takie czyny, jak publiczne nawoływanie do nienawiści przeciwko grupom rasowym, narodowościowym, etnicznym, religijnym i niekiedy innym – np. grupom wyróżniającym się orientacją seksualną – a także znieważanie (lżenie, poniżanie, wyszydzanie) takich grup. W Stanach Zjednoczonych „mowa nienawiści” – o ile nie jest ona bezpośrednio niebezpiecznym w konkretnym miejscu i czasie podburzaniem do natychmiastowego użycia przemocy – względnie tyczącymi się konkretnych osób (lub ich niewielkich grup) groźbami przemocy, bądź słownym dręczeniem czy skierowanymi twarzą w twarz do adresata napaściami słownymi („fighting words”), mogącymi bezpośrednio sprowokować werbalnie zaatakowaną osobę do użycia przemocy – jest bezkarna (choć oczywiście generalnie rzecz biorąc potępiana społecznie). Gdyby istniał jakiś prosty związek między prawnym tępieniem „hate speech”, a zapobieganiem motywowanej rasistowską, ksenofobiczną czy homofobiczną nienawiścią i pogardą przemocy, to w zabraniających „hate speech” krajach europejskich przemoc taka powinna stopniowo zanikać (a w każdym razie, nie narastać w jakiś wyraźny sposób), zaś tolerancyjnych wobec „mowy nienawiści” Stanach Zjednoczonych coraz bardziej szaleć – w każdym razie, nie zmniejszać się. Czy jednak tak się właśnie dzieje? Nie – jest dokładnie odwrotnie. I tak, z niedawnego raportu Agencji Praw Podstawowych Unii Europejskiej wynika, że latach 2000 – 2009 liczba „przestępstw z nienawiści” zwiększyła się w 11 z 14 krajów unijnych, które gromadzą i upubliczniają dane wystarczające do wyciągnięcia wniosków na ten temat. W szczególnie ostro – z dających się zrozumieć powodów – traktujących „hate speech” Niemczech liczba „przestępstw z nienawiści” wzrosła w latach 2000 - 2008 o 39% (zob. ten artykuł – można go przetłumaczyć z duńskiego – na angielski zgrabnie, na polski dużo gorzej - za pomocą <http://translate.google.com/>). Jednocześnie w Stanach Zjednoczonych liczba odnotowanych przez FBI „hate crimes” spadła w latach 1996 – 2010 z 8759 do 6628, co w przeliczeniu na liczby takich przestępstw na 100 000

mieszkańców oznacza spadek z 3,25 „przestępstw z nienawiści” w roku 1996, do 2,15 w roku 2010 [13]. Jakkolwiek trudno jest powiedzieć, czy we wspomnianym okresie nastąpił w USA wzrost „podaży” samej „mowy nienawiści” (podobny do wspomnianego wzrostu podaży pornografii) – to na zdrowy rozum można przypuszczać, że za sprawą choćby stopniowego zwiększania się dostępności Internetu „narażenie” Amerykanów na kontakt z nienawistnymi treściami w okresie tym najprawdopodobniej wzrosło. Jak jednak widać, ogólny wzrost kontaktu Amerykanów z „mową nienawiści” nie tylko, że nie przełożył się na zwiększenie liczby motywowanych nienawiścią przestępstw – ale towarzyszył mu wyraźny spadek liczby tego rodzaju przestępstw.

Zakazów pornografii – w tym także pornografii łączącej seks z (udawaną) przemocą – i „mowy nienawiści” nie można więc w sposób przekonywujący uzasadnić tym, że wpływ, jaki tego rodzaju ekspresja może wywierać na niektóre osoby może być w jakiejś mierze przyczyną popełnianych przez te osoby przestępstw. Czy można je uzasadnić na jakimś innym gruncie?

Jeśli chodzi o pornografię, to zakaz produkcji, rozpowszechniania i nabywania (ale moim zdaniem już nie po prostu posiadania [14]) pewnych jej rodzajów można usprawiedliwić potrzebą ochrony nie np. kobiet, które mogłyby paść ofiarą gwałtów, dokonanych przez pewne osoby na skutek naoglądania się pornografii, ale tych osób, które są krzywdzone na skutek samej produkcji takiej pornografii. Weźmy w tym kontekście tzw. pornografię dziecięcą – ukazującą takie czy inne akty seksualne z udziałem osób, które nie osiągnęły jeszcze określonego przez prawo „wieku przyzwolenia” (w Polsce 15 lat). Tego rodzaju pornografia jest – jeśli nie zawsze, to w wielu przypadkach – rejestracją popełnionych specjalnie w celu jej wytworzenia przestępstw. Nie ma wątpliwości, że seksualne wykorzystanie dziecka przed obiektywem aparatu fotograficznego lub kamerą video w celu wyprodukowania pornografii jest dla tego dziecka czymś krzywdzącym – podobnie, jak krzywdzące byłoby zgwałcenie w podobnym celu dorosłej kobiety. Nie ma też wątpliwości co do tego, że wizualna rejestracja takiego czynu – i związana z nią świadomość, że sceny, które wykorzystana w celu wyprodukowania pornografii osoba chciałaby wymazać z pamięci są i będą oglądane przez innych – może pogłębiać i utrwaląć psychiczny uraz, będący rezultatem samego wykorzystania. Zapobieganie krzywdzie wyrządzanej ofiarom produkcji pornografii dziecięcej (czy „dorosłej” pornografii produkowanej bez zgody ukazywanej na niej osób) poprzez ściganie i karnie wyłączenie tych, którzy produkują taką pornografię (i wykorzystują w tym celu dzieci, bądź gwałcą kobiety) byłoby mało efektywne – z tego prostego względu, że osoby produkujące taką pornografię trudno jest wykryć, a następnie złapać i ukarać – pornograficzne filmy z udziałem dzieci nie mają przecież czołówek, na których wypisane są prawdziwe nazwiska producenta, reżysera, kamerzysty i grających w nich aktorów. Tak więc zakazy nie tylko samej produkcji, ale także rozpowszechniania i - sądzę też – nabywania pornografii dziecięcej są uzasadnione [15]. Uzasadniony jest w ogóle zakaz rozpowszechniania takiej pornografii, na której dystrybucję czy publiczne prezentowanie przedstawiona na niej osoba nie wyraziła zgody [16].

To wszystko tyczy się jednak wyłącznie pewnych rodzajów pornografii – z pewnością nie wszelkiej pornografii – i nie ma żadnego zastosowania w odniesieniu do „mowy nienawiści”. Czy w przypadku tej drugiej dałoby się wskazać jakieś argumenty przemawiające za prawnym zakazem?

Myślę, że w niektórych przypadkach tak. Weźmy tu np. sytuacje, w której jacyś konkretni ludzie są bezpośrednio zastraszani, bądź dręczeni werbalnie z powodu swojej narodowości, rasy, wyznania, czy (np.) orientacji seksualnej. Krzywda wyrządzana takim ludziom jest bezpośrednia i niezaprzeczalna i ludzie ci niewątpliwie powinni mieć prawo do tego, by się przed taką krzywdą bronić – w miarę potrzeby za pomocą środków przewidzianych przez prawo. Kilka lat temu głośny był w Warszawie przypadek rodziny, regularnie obrzucanej antysemickimi obelgami i zastraszanej przez niektórych sąsiadów z powodu jej rzekomo żydowskiego pochodzenia. Nikt chyba nie sądzi w sposób poważny, że zachowania tego rodzaju, jak te, których ofiarą padli członkowie wspomnianej rodziny powinny być prawnie tolerowane z racji obowiązywania zasady wolności słowa. Nie trudno jednak zauważyć, że do tępienia tego rodzaju ekscesów mało przydatne są – i po prostu nie są potrzebne – przepisy zakazujące publicznego nawoływania do nienawiści na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych albo ze względu na bezwyznaniowość (art. 256 § 1 k.k.) czy publicznego znieważania grupy ludności albo poszczególniej osoby z powodu jej przynależności narodowej, etnicznej, rasowej, wyznaniowej albo z powodu jej bezwyznaniowości (art. 257 k.k.): adekwatne i wystarczające są do tego przepisy zabraniające nękania innych osób i grożenia tym osobom popełnieniem przestępstwa na ich szkodę (jeśli groźba jest wiarygodna i rzeczywiście wzbudza strach). [17]

Co jednak z typową „mową nienawiści” – nie tyczącą się konkretnych osób (lecz raczej całych grup – typu Żydzi, Cyganie, muzułmanie, homoseksualiści) i nie kierowaną do konkretnych osób wbrew ich woli – której w obecnym stanie prawnym nie dałoby się zakwalifikować inaczej, niż jako przestępstwa określonego w artykułach 256 i/lub 257 kodeksu karnego? Była tu już mowa o tym, że niektórzy zwolennicy zakazów „mowy nienawiści” usprawiedliwiają te zakazy tym, że wypowiedzi lżące i poniżające takie czy inne grupy narodowościowe, rasowe, religijne itp. wyrządzają psychiczną krzywdę członkom takich grup i naruszają ich ludzką godność. Czy to jednak może być argument uzasadniający szerokie zakazy „mowy nienawiści” w stylu art. 256 i 257 polskiego k.k.? Osoba należąca do mniejszości narodowej, czy religijnej (bądź innej – etnicznej, seksualnej, itp.) która styka się np. w Internecie (bądź w jakikolwiek inny sposób) z wypowiedziami określającymi tę mniejszość mianem złodziei, podludzi czy zarazy z pewnością może się poczuć fatalnie. Ale czy dolegliwość wyrządzana jej przez takie wypowiedzi jest w jakiś konieczny sposób większa, niż ta, którą mogłaby jej wyrządzić co najmniej pretendująca do miana naukowości publikacja, której autor za pomocą przytaczania takich czy innych danych statystycznych – wykresów, tabel itp. - usiłowałby wykazać, że członkowie grupy, do której należy ta osoba są generalnie rzecz biorąc mniej inteligentni, niż członkowie innych, podobnego typu grup? Taka, jak głośna swego czasu książka Richarda J. Harrenstein’a i Charlesa Murray’a [„Krzywa Dzwonowa”](#), „udowadniająca” przy użyciu różnych danych statystycznych tezę, że poziom zdolności intelektualnych poszczególnych ras ludzkich jest zdeterminowany

genetycznie i że najniższy poziom tych zdolności ma rasa czarna. „Krzywa dzwonowa” – przy całej swej kontrowersyjności – nie stanowi (czy nie stanowiłaby) przestępstwa określonego w art. 256 lub 257 polskiego kodeksu karnego. Do nienawiści wobec Murzynów książka ta z pewnością bezpośrednio nie nawołuje, trudno byłoby też uznać ją za znieważenie członków tej grupy rasowej. Za znieważanie uznaje się zazwyczaj chamskie, nieopanowane, wulgarne epitety i wyzwiska pod adresem jakiejś osoby, względnie grupy osób – trudno byłoby tak zakwalifikować przytaczanie jakichś danych statystycznych – nawet, jeśli wnioski, które można wyciągnąć z tych danych byłyby krzywdzące dla grupy, której się tyczą. Zachodzi poza tym pytanie, dlaczego ludzie mieliby być chronieni przed psychiczną krzywdą, jaką mogą im wyrządzić wypowiedzi znieważające całe grupy, do których należą te osoby, tylko w związku z takimi rodzajami grupowej przynależności, jak przynależność narodowa, etniczna, rasowa, wyznaniowa (bądź związana np. z brakiem wierzeń religijnych) – lecz nie w związku z innymi rodzajami takiej przynależności? Dlaczego chronić przy użyciu prawa karnego ludzką godność Żydów, muzułmanów, czy Łemków – lecz już nie godność rolników, górników, lekarzy, bezrobotnych, byłych pracowników PGR-ów – a dalej np. osób posiadających pewne negatywnie często postrzegane cechy osobiste – np. otyłych – lub osób, których wspólną cechą jest określony światopogląd, sympatie polityczne czy doświadczenia życiowe? Czy ludzka godność jest czymś w sposób szczególny związana z takimi akurat cechami człowieka, jak jego narodowość, przynależność etniczna, rasowa i wyznanie (bądź bezwyznaniowość)? Nie – jest ona czymś przysługującym wszystkim ludziom z racji po prostu tego, że są oni ludźmi. Jest też w tym wszystkim jeszcze jedna kwestia; taka mianowicie, czy ludzka godność członków jakiejś grupy naprawdę może zostać zniweczona bądź umniejszona wskutek tego, że ktoś w taki sposób, że teoretycznie rzecz biorąc nieograniczona liczba osób może zapoznać się z jego stwierdzeniami (generalnie rzecz biorąc, coś takiego właśnie uznaje się za prawne znamię „publiczności” w odniesieniu do różnych przestępstw, polegających na wypowiedziach) w sposób obraźliwy lub nienawistny wyraża się o takiej grupie? Moim zdaniem nie: godności np. Żydów nic nie odejmuje to, że są tacy, którzy określają tę grupę narodowościową mianem „ponadnarodowej mafii” „choroby, którą leczył Hitler” czy nawet „nie ludzi”. Takie określenia mogą oczywiście obrażać, wzburzać i niepokoić – i to nie tylko Żydów – ale nie powodują tego, że ludzka godność członków tej nacji staje się mniejsza. A jeśli nawet coś takiego można byłoby uznać za naruszenie .ludzkiej godności – kwestia tego, czy obelgi dotyczące jakiejś grupy naruszają godność jej członków jest kwestią filozoficzną, nie taką, którą można rozstrzygnąć empirycznie – to zachodzi nadal pytanie, co jest lepszą metodą przywracania naruszonej godności: czy ciągnące się często miesiącami (jak nie latami) procesy, podczas których roztrząsa się, czy takie lub inne wyrażanie na temat jakiejś grupy narodowościowej, religijnej itp. są znieważeniem takiej grupy – czy może werbalne odparcie i odrzucenie słownej pogardy i nienawiści? Takie, jak niedawny protest i akcja zbierania podpisów (też się podpisałem) przeciwko transparentowi znieważającemu Litwinów. [18]

Zakazy pornografii – o ile jej produkcja nie jest związana z wyrządzaniem krzywdy przedstawianym na niej osobom – a także „mowy nienawiści” – nie będącej werbalnym zastraszaniem, dręczeniem, bądź zniesławieniem innych, konkretnych osób, względnie bezpośrednio niebezpiecznym w danym czasie i miejscu podburzaniem do użycia przemocy

przeciwko innym osobom lub należącemu do nich mieniu – są więc nieusprawiedliwione – tak samo, jak nieusprawiedliwione są zakazy publicznego znieważania Narodu lub Rzeczypospolitej Polskiej (art. 133 k.k.), publicznego znieważania symboli narodowych (art. 137 k.k.) [19], publicznego znieważania Prezydenta RP (art. 135 § 2 k.k.), publicznego znieważania lub poniżania konstytucyjnego organu RP (art. 226 § 3 k.k.), publicznego znieważania głowy obcego państwa bądź (np.) jego ambasadora (art. 136 § 3), publicznego znieważania członka personelu dyplomatycznego obcego państwa lub jego konsula (art. 136 § 3 k.k.), znieważania funkcjonariusza publicznego lub osoby do pomocy mu przybranej podczas i w związku z pełnieniem obowiązków służbowych (art. 226 § 1 k.k.) [20], obrażania uczuć religijnych (art. 198 k.k.), publicznego propagowania lub pochwalania zachowań pedofilskich (art. 200b k.k.), publicznego pochwalania popełnienia przestępstwa (art. 255 § 3 i art. 126a k.k.) – a także nawoływania do popełnienia przestępstwa, o ile nie wynika z niego jasne i bezpośrednie niebezpieczeństwo faktycznego doprowadzenia do popełnienia przestępstwa (art. 255 § 1 i 2 oraz art. 126a k.k.), rozpowszechniania lub publicznego prezentowania treści mogących ułatwić popełnienie przestępstwa o charakterze terrorystycznym w zamiarze, aby przestępstwo takie zostało popełnione (art. 255a k.k.) [21], ujawnienia informacji niejawniej opatrzonej klauzulą „tajne” lub „ściśle tajne” przez osobę, które nie zobowiązała się w sposób dobrowolny do utrzymania takiej informacji w tajemnicy (art. 265 § 1 k.k.) [22], czy wreszcie pokrewnych zakazowi „mowy nienawiści” zakazów publicznego propagowania faszystowskiego lub innego totalitarnego ustroju państwa (art. 256 § 1 k.k.) oraz publicznego zaprzeczania – wbrew faktom – zbrodniom nazistowskim lub komunistycznym, popełnionym na Polakach lub obywatelach polskich innych narodowości (art. 55 Ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej). Zakazy takie występują jednak w ustawodawstwach bardzo wielu krajów świata – odnośnie zakazów „hate speech” można zaryzykować wręcz twierdzenie, że są to najbardziej charakterystyczne dla naszych czasów i naszego, europejskiego (choć już nie europejsko – amerykańskiego – Stany Zjednoczone nie mają przepisów przeciwko „mowie nienawiści”) kręgu kulturowego ograniczenia wolności słowa [23].

Czy powszechna – choć bynajmniej nie jednomyślna – akceptacja takich ograniczeń swobody wypowiedzi, jak zakazy „mowy nienawiści” nie czyni walki z takimi zakazami przysłowiową walką z wiatrakami? Odpowiadając na tak postawione pytanie powiem tyle, że dobrze zdaję sobie sprawę z tego, że zniesienie takich zakazów nie jest czymś, do czego można łatwo doprowadzić i do czego szybko dojdzie. Merytoryczne argumenty na rzecz takich ograniczeń wolności słowa, jak zakazy pornografii (nie wykorzystującej dzieci czy – powiedzmy – gwałconych specjalnie w celu wyprodukowania pornografii kobiet) są słabe – nie mocniejsze, niż mogłyby być argumenty za zakazem wielu typów ekspresji, których raczej mało kto chciałby zabronić. Nie ma dowodów na to, że dopuszczalność rozpowszechniania (i oczywiście posiadania i oglądania) pornografii – w tym także pornografii ukazującej w sposób fikcyjny czyny traktowane przez prawo jako przestępstwa – prowadzi do większej liczby gwałtów czy przypadków seksualnego wykorzystywania dzieci, nie ma dowodów na to, że prawna tolerancja wobec „hate speech” musiałaby prowadzić do rozprzestrzenienia się w społeczeństwie postaw rasistowskich (czy – dajmy na to – homofobicznych) i co za tym idzie wzrostu dyskryminacji i przemocy wobec mniejszości. Jak była tu już mowa, obserwuje

się spadek liczby „przestępstw z nienawiści” w Stanach Zjednoczonych mimo prawnej tolerancji wobec „mowy nienawiści” – i wzrost liczby „przestępstw z nienawiści” w krajach europejskich – mimo zakazów takiej „mowy”. W tolerancyjnych wobec „hate speech” – w tym także wypowiedzi o charakterze antysemitycznym – Stanach Zjednoczonych poziom antysemityzmu jest – jak wykazały badania przeprowadzone przez znaną organizację żydowską [Anti - Defamation League](#) - znacznie niższy od odnotowanego w którymkolwiek z nietolerancyjnych wobec „mowy nienawiści” państw Unii Europejskiej [24]. O wysoce prawdopodobnym braku związku między dopuszczalnością publicznej „hate speech”, a faktycznym szerzeniem się w społeczeństwie rasizmu (czy ksenofobii lub homofobii) świadczyć też mogą stopniowe zmiany stosunku amerykańskiego społeczeństwa do międzyrasowych małżeństw. Jak wykazały sondaże Instytutu Gallupa, w roku 1958 małżeństwa takie akceptowało zaledwie 4% procent Amerykanów. Natomiast w roku 2011 małżeństwa takie nie stanowiły problemu dla 86% mieszkańców USA, przy czym wśród respondentów w wieku od 19 do 29 lat odsetek nie mających nic przeciwko takim małżeństwom wynosił aż 97%. Jest to ważna obserwacja z tego względu, że – jak [trafnie pisze Jacob Mchangama](#) – prawdopodobnie nie ma lepszej miary poziomu międzyetnicznej (międzyrasowej, międzynarodowościowej, czy międzywyznaniowej) tolerancji danego społeczeństwa, jak stosunek tego społeczeństwa do małżeństw (i w ogóle związków – także tych nie sformalizowanych prawnie) między osobami należącymi do różnych grup etnicznych, rasowych, narodowych, wyznaniowych itp. W Stanach Zjednoczonych na przestrzeni lat wzrosła zresztą nie tylko abstrakcyjna akceptacja dla międzyrasowych małżeństw – wzrosła także faktyczna liczba takich małżeństw – o ile w roku 1980 stanowiły one 6,7% nowo zawartych związków małżeńskich, to w roku 2010 już około 15%. To wszystko wydarzyło się bez zakazów „mowy nienawiści” (aczkolwiek nie bez ustawodawstwa wymierzonego w rasistowskie praktyki – takiego np. jak słynna [Ustawa o Prawach Obywatelskich z 1964 r.](#) zabraniająca dyskryminacji rasowej, narodowościowej, etnicznej i wyznaniowej w dostępie do ogólnie dostępnych usług i w zatrudnieniu). O tym, że amerykańskie podejście do kwestii prawnej dopuszczalności „hate speech” lepiej służy kształtowaniu się w społeczeństwie postaw międzyrasowej, czy międzyreligijnej tolerancji, niż podejście – nazwijmy to – europejskie świadczyć też mogą np. różnice między Amerykanami, a mieszkańcami niektórych państw europejskich, jeśli chodzi o stosunek do zakazu (czy propozycji zakazu) zaślania twarzy w miejscach publicznych przez kobiety wyznające islam: w 2010 r. [według przeprowadzonych wówczas sondaży opinii publicznej](#) zakaz taki popierało 70% Francuzów, 65% Hiszpanów, 63% Włochów, 57% mieszkańców Wielkiej Brytanii, 50% Niemców i tylko 33% mieszkańców USA. To w zakazujących „mowy nienawiści” krajach europejskich znani z ksenofobicznych poglądów politycy zyskują znaczne – powiedzmy, kilkunastoprocentowe – poparcie w wyborach i zasiadają w parlamencie lub organach władz lokalnych – nie w tolerujących „mowę nienawiści” jako przejaw korzystania z wolności słowa USA. Wiele też o „skuteczności” zakazów „hate speech” jako narzędzi budowania postaw tolerancji wobec osób o innej narodowości, przynależności etnicznej, wyznaniu, czy kolorze skóry mówią [wyniki badań](#) europejskiej Agencji Praw Podstawowych na temat mniejszości jako ofiar przestępstw: z badań tych, które polegały na odbyciu rozmów z 23500 przedstawicielami mniejszości narodowościowych, rasowych i etnicznych we wszystkich krajach UE wynikało, że w ciągu 12 miesięcy

poprzedzających przeprowadzenie rozmowy ofiarą co najmniej jednego przestępstwa tego rodzaju, co napaść, stosowanie gróźb lub „poważne nękanie” – które według tejże ofiary było całkowicie lub w części motywowane jej statusem jako imigranta lub członka mniejszości – padło w krajach UE 18% osób pochodzących z Afryki subsaharyjskiej i 18% Romów. Jeśli chodzi o konkretne kraje, to ofiarami wspomnianego typu przestępstw stało się 32% Romów mieszkających w Czechach (oraz 26 % Romów mieszkających w Polsce, i – co ciekawe – „tylko” 19% Romów żyjących na Węgrzech, gdzie prawo dotyczące „hate speech” przynajmniej do niedawna znacznie bardziej przypominało rozwiązania amerykańskie, niż typowe dla krajów europejskich [25]), 32% Somalijszczyków w Finlandii i 31% Somalijszczyków w Danii, 13% Turków mieszkających w Niemczech, oraz 7% osób pochodzenia północno – afrykańskiego żyjących we Francji. To wszystko jest prawdą – lecz na stanowienie prawa mają wpływ nie tylko fakty – i oparte na tych faktach argumenty i racje – ale także mające wątplý związek z faktami – lecz głęboko zakorzenione w świadomości społecznej przekonania i emocje.

Głęboko zakorzenionym w świadomości dużej części europejskich elit intelektualnych przekonaniem na temat „hate speech” jest przekonanie, że to właśnie „mowa nienawiści” była czymś, co leżało u podłoża okropieństw tego rodzaju, co Holocaust, wojna domowa w byłej Jugosławii w latach 90-tych XX wieku, czy rzeź plemienna w Rwandzie, która w ciągu 100 dni – od 6 kwietnia 1994 r. do lipca 1994 r. - pochłonięła życie od 800 000 do 1 071 000 ludzi – i w związku z tym zakaz „mowy nienawiści” jest czymś, co może zapobiec podobnym tragediom w przyszłości. W przekonaniu tym jest niewątpliwie jakaś część prawdy. Nie byłoby Holocaustu bez antysemityzmu. Nie byłoby rzezi etnicznych w krajach byłej Jugosławii bez nienawiści Serbów wobec Chorwatów i Muzułmanów (i *vice versa*). Nie byłoby wreszcie ludobójstwa w Rwandzie bez nienawiści Hutu wobec Tutsich. Wszystkie te rodzaje grupowej nienawiści – mając podłożę w różnego rodzaju czynnikach społecznych, ekonomicznych i historycznych – były podsycane przez prasę, radio i wypowiedzi politycznych przywódców. Na zdrowy rozum trudno sobie po prostu wyobrazić, by to, co nazywa się „mową nienawiści” nie odegrało w genezie wspomnianych tragedii jakiegokolwiek roli.

Nie twierdząc, że „hate speech” nie odegrała żadnej roli w przyczynieniu się do np. Holocaustu – czy ludobójstwa w Rwandzie – nie może jednak zapominać o jednym: kraje, w których zdarzyło się ludobójstwo czy rzezie etniczne na jakąś wielką skalę nie były krajami, w których panowała jakaś „nadmierna” – obejmująca *również* „mowę nienawiści” – wolność słowa. Wolności słowa w oczywisty sposób nie było w III Rzeszy Niemieckiej – państwie, którego władze dokonały m.in. ludobójstwa na Żydach. Rajem swobody wypowiedzi z pewnością nie była też była Jugosławia, ani Rwanda. W pierwszym z tych krajów za podżeganie do nienawiści i niezgody między zamieszkującymi go narodami i narodowościami można było dostać nawet 10 lat więzienia. W przedhitlerowskich Niemczech – zwanych powszechnie Republiką Weimarską – szereg nazistów zostało skazanych na kary grzywny i nawet pozbawienia wolności na podstawie (m.in. – bo nie tylko) art. 166 kodeksu karnego, przewidującego karę do 3 lat więzienia dla m.in. kogoś, kto publicznie znieważa społeczność religijną, bądź jej instytucje lub zwyczaje – a samemu Hitlerowi władze Bawarii

w 1925 r. na dwa lata zakazały wygłaszania jakichkolwiek publicznych przemówień [26]. Rezultatem tych działań było nie osłabienie, czy tym bardziej wyeliminowanie postaw antysemickich w niemieckim społeczeństwie, lecz wywołanie (lub podsycenie) u części Niemców poczucia prześladowania przez Żydów i przekonania o istnieniu skierowanego przeciwko „prawdziwym” Niemcom żydowskiego spisku. Ławy oskarżonych w sądach służyły też nazistom do popularyzacji swoich poglądów i zdobywania rzesz nowych zwolenników. Odnośnie Rwandy nie wiem, jak wyglądały w tym kraju prawne regulacje „hate speech” przed ludobójstwem w 1994 r. (obecnie obowiązują tam niezwykle szerokie zakazy propagowania „ludobójczej ideologii” i szerzenia „dywizjonizmu” [27], ale wiem jedno: uprawiające ewidentną „mowę nienawiści” przeciwko Tutsim „Radio Tysiąca Wzgórz” oraz dwutygodnik „Kangura” na rwandyjskim rynku mediów praktycznie nie miały konkurencji. Rola „Kangury” w przyczynieniu się do ludobójstwa była przy tym wątpliwa choćby z tego względu, że pismo to ukazywało się w co liczbę najwyżej 3000 egzemplarzy, a 70% dorosłej populacji Rwandy w okresie ludobójstwa było analfabetami (powszechne natomiast były odbiorniki radiowe i „Radio Tysiąca Wzgórz” było rzeczywiście bardzo popularne). [28]

Nie ma co tu roztrząsać wszystkich możliwych przyczyn ludobójstwa (czy rzezi etnicznych lub religijnych) i roli, jaką może odgrywać w tym nienawistna propaganda. To zadanie zbyt ambitne na kilkunastostronicowy artykuł – nie będący zasadniczo rzecz biorąc publikacją na ten temat. Warto jednak w kontekście tego problemu przytoczyć fragment publikacji, która ukazała się na stronie internetowej waszyngtońskiego Muzeum Holocaustu. W publikacji tej, zatytułowanej [„Hate speech and group – targeted violence – The role of speech in violent conflicts”](#) czytamy: *„Ludobójstwo nigdy nie następuje w sposób spontaniczny – bez względu na to, jakie formy wypowiedzi wdrażane są w celu jego wsparcia: musi być zorganizowana struktura, często państwowa, implementująca przygotowany plan. Ludobójstwo może się zdarzyć bez docierającej do szerokich kręgów społeczeństwa propagandy, lecz nie bez zorganizowanej, siłowej struktury, zdeterminowanej do tego, by go dokonać. W Rwandzie np. niezależnie od tego, czy media odegrały czy też nie odegrały znaczącą rolę w zachęceniu do przemocy, przywódcy wciąż musieli zorganizować milicję, zyskać kontrolę nad siłami zbrojnymi i zmobilizować przyjaciół, rodzinę i sąsiadów do wzięcia udziału w rzezi”*.

Autorka publikacji o roli „mowy nienawiści” w konfliktach tego rodzaju, co wojny domowe w Bośni, Gwatemali i rzezi etniczne w Rwandzie oraz w Kenii (którą jest [Jacqueline Scutari](#)) pisze też, że *„istnieją pewne środowiskowe (chodzi jej niewątpliwie o tzw. środowisko społeczne – nie środowisko naturalne) i strukturalne czynniki w społeczeństwie – takie, jak historia przemocy, marginalizacja pewnych grup i uprzedzenia – które tworzą warunki, w jakich ‘mowa nienawiści’ może z większym prawdopodobieństwem prowadzić do przemocy. ‘Hate speech’ może też powodować zwiększone prawdopodobieństwo przemocy w tych społeczeństwach, w których istnieje sztywna – warstwowa – hierarchia społeczna, słabość rządów prawa, wspierana przez państwo przemoc, bezkarność przemocy lub szeroko rozpowszechniona korupcja. Jest ona szczególnie niebezpieczna wówczas, gdy rynek idei jest zamknięty i alternatywne wobec niej punkty widzenia nie są wyrażane”*.

Z dwóch powyższych akapitów jasno wynika, że w dzisiejszej Polsce nie ma niebezpieczeństwa czegoś takiego, jak ludobójstwo. Jeśli nawet spełnione są pewne jego warunki – takie, jak marginalizacja pewnych grup i istniejące już uprzedzenia przeciwko tym grupom – co dotyczy się np. Romów – to z pewnością większość warunków, w tym warunki w moim odczuciu najważniejsze, nie jest spełniona. Nie było w niedawnej historii Polski rzezi międzyetnicznych czy międzyreligijnych na jakąś dużą skalę. Nie ma w Polsce jakiegś bardzo sztywnej hierarchii społecznej – przypominającej np. tą, jaką w Rwandzie tworzyły plemiona Hutu i Tutsi. Nie ma też w naszym kraju wspieranej przez państwo przemocy przeciwko takim czy innym grupom etnicznym bądź religijnym. Ani też przemoc przeciwko członkom takich grup nie jest w jakiś szczególny, zamierzony sposób, tolerowana. Nie ma też u nas żadnej zorganizowanej struktury, którą z jakimkolwiek rozsądnym stopniem prawdopodobieństwa można byłoby podejrzewać o szykowanie ludobójstwa – takiej, jak bojówki Interahamwe w Rwandzie.

Musiałyby nastąpić jakieś olbrzymie zmiany społeczne – przede wszystkim totalna zmiana, a lepiej mówiąc po prostu załamanie się systemu wartości - aby w Polsce czy innym kraju zachodniej lub środkowej Europy mogło dojść do czegoś choćby trochę przypominającego rwandyjską rzeź etniczną. Zmiany takie – zakładając ich możliwość – nie mogłyby się oczywiście dokonać następstwem samej tylko propagandy – zwłaszcza propagandy tak marginalnej, jaką jest – czy może lepiej mówiąc nawet razie zupełnej bezkarności byłaby – „mowa nienawiści” – mogąca zostać obecnie potraktowana jako przestępstwo określone w art. 256 lub 257 kodeksu karnego. Twierdzenie, że „mowa nienawiści” musi być karalna – bo jak nie będzie, to stanie się coś takiego, jak stało się w III Rzeszy, albo w Bośni czy w Rwandzie – jest więc zwyczajną demagogią. Coś takiego w dającej się jako tako przewidzieć przyszłości (wiem oczywiście, że przewidywanie jest niezmiernie trudne, *zwłaszcza*, jeśli chodzi o przyszłość) nie ma szansy w Polsce się zdarzyć – a gdyby miało się zdarzyć kiedykolwiek, to główną tego przyczyną z pewnością nie będzie sama „mowa nienawiści” lecz czynniki zupełnie od niej niezależne.

A to, że „mowa nienawiści” może w jakiś sposób przyczyniać się (choć trudno w zdecydowany sposób odpowiedzieć na pytanie, czy przyczynia się, czy też nie) do trudnych do porównania – przynajmniej jeśli chodzi o skalę – z ludobójstwem przestępstw – takich, jak groźby, pobicia czy nawet morderstwa opisywane w publikowanej przez stowarzyszenie „Nigdy Więcej” [„Brunatnej Księżki”](#) – co w warunkach dzisiejszej Polski jest już nieco bardziej sensownym argumentem na rzecz zakazu „hate speech”? Czy to może być argument za istnieniem w systemie prawnym i egzekwowaniem przepisów tego rodzaju, co art. 256 i 257 kodeksu karnego? Zdaniem niektórych zapewne tak. Ale – jak była tu już mowa – wiele wypowiedzi zupełnie innych, niż np. „mowa nienawiści” może mieć niebezpieczny wpływ na pewnych osobników i w jakiś pośredni sposób przyczyniać się do przemocy. Wspomnianą w tym tekście obok „mowy nienawiści” pornografię nieraz oskarżano o przyczynianie się do np. gwałtów – w oskarżeniach takich celowały zwłaszcza niektóre skrajne feministki – choćby słynna para [Catharine MacKinnon](#) i [Andrea Dworkin](#). Tyle tylko, że same autorki feministyczne pisały o tym, że niektórych mężczyzn do mizoginistycznej agresji i niekiedy przemocy wobec kobiet prowokuje aktywność osób i organizacji, działających na rzecz

poprawy społecznego statusu płci pięknej. [29] Czy – idąc tokiem rozumowania zwolenników zakazów „mowy nienawiści” i pornografii – nie powinniśmy zatem zakazać rozpowszechniania prac feministycznych – i w ogóle wszelkich przejawów działalności ruchu na rzecz praw kobiet – w oparciu o teorię, że mogą one motywować pewnych mężczyzn do dokonywania czynów krzywdzących kobiety? Jeśli chodzi o przemoc przeciwko mniejszościom narodowym, etnicznym, rasowym, religijnym czy (np.) seksualnym – którą można próbować łączyć z „mową nienawiści” – chciałbym zauważyć, że z [badań przeprowadzonych w Niemczech](#), gdzie w latach 90. zeszłego wieku przemoc przeciwko m.in. imigrantom stanowiła poważny problem społeczny, wynika to, że ofiarami takiej przemocy najczęściej padali nie członkowie tych grup, które „obiektywnie” rzecz biorąc stanowiły największy problem dla reszty społeczeństwa – w sensie pochłaniania środków na zasiłki dla bezrobotnych, „zabierania” rodowitym Niemcom miejsc pracy, czy zajmowania mieszkań – ale osoby należące do tych grup, na które zwracano szczególną uwagę w mediach. Z powyższego wynikałby związek przyczynowo – skutkowy między treściami publikowanymi w prasie, czy prezentowanymi w Internecie, bądź w radiu lub w telewizji, a przemocą przeciwko członkom takich grup, jak imigranci, tyle tylko, że treści, których obecność w przestrzeni publicznej najwyraźniej przyczyniała się do przemocy nie miały wiele wspólnego z karalnym w Niemczech (podobnie, jak w Polsce) znieważaniem takich czy innych grup narodowościowych lub etnicznych bądź „nawoływaniem do nienawiści” przeciwko takim grupom. Idąc konsekwentnie tropem myślenia zwolenników zakazu „mowy nienawiści” w oparciu o teorię dotyczącą pośredniego związku przyczynowo – skutkowego między taką „mową” a przemocą nie powinniśmy zatem tak rozszerzyć przepisów przeciwko „hate speech” by móc karać również za takie wypowiedzi – jeśli w jakiś choćby pośredni sposób przyczyniają się one do takich czynów, jak pobicia czy zabójstwa imigrantów? Nie powinniśmy karać za publikowanie stwierdzeń tego rodzaju, co wypowiedziane przez byłego kanclerza Niemiec Helmuta Kohla zdanie, że „wzrost liczby poszukiwaczy azylu przybrał formę kryzysu państwa”? – stwierdzenie takie, padające z ust popularnego polityka i bez wątplenia szeroko rozpowszechnione w mediach z pewnością może dostarczyć niektórym osobnikom motywacji do przestępczych działań przeciwko chcącym uzyskać azyl – choć z drugiej strony, nie jest ono czymś, co w obecnym stanie prawnym można byłoby uznać za karalną „mowę nienawiści”. Nie powinniśmy zabronić choćby wspominania o przestępstwach popełnianych przez członków pewnych grup narodowościowych, etnicznych itp. – np. Czeczeńców, Ukraińców, Rosjan, czy Arabów – w oparciu o argument, że pisanie lub mówienie o przestępczych czynach członków jakiejś wyróżniającej się z ogółu społeczeństwa grupy może skutkować tym, że cała taka grupa będzie postrzegana przez jakąś część opinii publicznej jako posiadająca kryminalne skłonności – co niektórych ludzi może skłonić do aktów agresji przeciwko członkom takiej grupy – nawet niewinnym popełnienia jakichkolwiek przestępstw? Jakby nie było, mamy – wydaje mi się – skojarzenia typu „Czeczen (albo Rosjanin, czy Ukraińiec) – mafia”, „Arab (czy w ogóle muzułmanin) – terrorysta” – mimo że żadne poważne media nie publikują w oczywisty sposób bzdurnych twierdzeń, że wszyscy przebywający w Polsce Czeczeni, Rosjanie, Ukraińcy czy muzułmanie (lub choćby jakaś naprawdę znacząca część takich osób) są członkami mafii bądź potencjalnymi terrorystami. W Niemczech stwierdzono istnienie czasowej korelacji między wzmożoną dyskusją na tematy tego rodzaju, co zakres prawa do azylu dla cudzoziemców, a

pewnymi spektakularnymi aktami rasistowskiej i ksenofobicznej przemocy – takimi, jak zamieszki, do których doszło we wrześniu 1991 r. we wschodniemieckim mieście Hoyerswerda i których ofiarą padli mieszkający tam „gastarbeiterzy” z Wietnamu i Mozambiku. Nie należałoby więc zabronić dyskusowania na taki temat, jak prawo do azylu (gdyby taki temat miał się kiedyś pojawić w Polsce) – czy w ogóle o członkach jakichś grup i problemach z nimi związanych – z racji tego, że dyskusje takie mogą u niektórych ludzi pobudzać emocje motywujące czasem przemoc? W Niemczech zauważono też, że po zajściach tego rodzaju, co rozruchy w Hoyerswerda następowały całe fale podobnych incydentów. Nie powinno się więc zabronić pisanie i mówienia *po prostu* o rasistowskiej czy ksenofobicznej (homofobicznej itp.) przemocy z racji mających uzasadnione podstawy obaw, że może to spowodować dalszą przemoc?

Zwolennicy zakazów takich czy innych rodzajów wypowiedzi w oparciu o argument, że wypowiedzi te mogą się przyczyniać do krzywdzących innych ludzi czynów nigdy nie są konsekwentni w kwestii tego, jakich treści należałoby z takiego powodu zabronić. W dzisiejszej Polsce prawdopodobnie najbardziej niebezpiecznym, najczęściej prowadzącym do przemocy rodzajem międzygrupowej nienawiści jest nienawiść między „kibolami” różnych drużyn piłkarskich. Założyć się można, że nienawiść ta jest w jakimś stopniu pobudzana i podsycana przez to, co różne grupy fanów takich czy innych drużyn piłki nożnej mówią i piszą o sobie, i innych drużynach i ich kibicach. Nikt przecież nie wysysa nienawiści wobec kibiców Legii, Cracovii, Wisły, czy Widzewa z mlekiem matki. Słyszał ktoś jednak o projekcie ustawy zakazującej nawoływania do wspomnianego rodzaju nienawiści? Miał rację amerykański sędzia pisząc: *„Wiele wypowiedzi jest niebezpiecznych: Chemików, których prace mogą pomóc komuś w zbudowaniu bomby, politycznych teoretyków, których rozprawy mogą zapoczątkować ruchy polityczne prowadzące do zamieszek, mówców, których idee przyciągają gwałtowne protesty, wszystkie te i inne zostawiają straty za sobą”* [30]. Tyle tylko, że jak stwierdził inny amerykański sędzia federalny ochrona wolności słowa nie wynika „z naiwnego przekonania, że mowa nie może prowadzić do zła, lecz na wierze w to, że korzyści, jakie społeczeństwo osiąga dzięki swobodnemu przepływowi i wymianie idei przeważają nad kosztami, jakie ponosi ono wskutek otrzymywania nagannych czy niebezpiecznych idei” [31]. Kto tego nie rozumie, nie rozumie tak naprawdę pojęcia „wolność słowa”.

Przypisy:

[1]. Wspomnieć można w tym kontekście o np. zakazie publicznego propagowania lub pochwalania zachowań o charakterze pedofilskich, który w roku 2010 stał się częścią polskiego prawa (pisałem o nim w artykule [„Propagowanie zachowań pedofilskich – niepotrzebne i niebezpieczne \(dla wolności słowa\) przestępstwo”](#)), czy propozycjach ograniczenia – choć raczej nie totalnego zakazu – prezentowania przemocy w mediach –

takich, jak przedstawiony w 2001 r. projekt Ustawy o Zakazie Promowania Przemocy w Środkach Masowego Przekazu (na jego temat zob. mój artykuł [„Nowy totalitaryzm? - O projekcie „Ustawy o Zakazie Promowania Przemocy w Środkach Masowego Przekazu” krytycznie”](#)).

[2]. W Polsce całkowicie zakazane jest produkowanie, utrwalanie, sprowadzanie, przechowywanie i posiadanie w celu rozpowszechnienia, oraz rozpowszechnianie i publiczne prezentowanie treści pornograficznych z udziałem osoby, która nie ukończyła 18 roku życia, treści pornograficznych związanych z prezentowaniem przemocy lub posługiwaniem się zwierzęciem, a także przedstawiających wytworzony albo przetworzony wizerunek małoletniego uczestniczącego w czynności seksualnej. W przypadku treści pornograficznych z udziałem nieletniego poniżej 15 lat, oraz takich, które przedstawiają wytworzony albo przetworzony wizerunek małoletniego uczestniczącego w czynności seksualnej zakazane jest także samo produkowanie, przechowywanie i posiadanie takich treści (czy może lepiej mówiąc, zawierających je nośników) – bez względu na to, czy ma to na celu ich rozpowszechnianie, bądź publiczną prezentację. Generalnie jednak rzecz biorąc, pornografia jest w Polsce legalna – wolno ją produkować, rozpowszechniać i oczywiście oglądać czy posiadać – o ile tylko nie prezentuje się jej publicznie w taki sposób, że może to narzucić jej odbiór osobie, która tego sobie nie życzy, względnie nie prezentuje się jej małoletniemu poniżej lat 15, bądź nie rozpowszechnia w sposób umożliwiający takiemu małoletniemu zapoznanie się z pornografią (zob. art. 202 [kodeksu karnego](#)).

[3]. Pod pojęciem „mowy nienawiści” rozumiem przede wszystkim te wypowiedzi, które można uznać za naruszające artykuły 256 i 257 kodeksu karnego:

Art. 256.

§ 1. Kto publicznie propaguje faszystowski lub inny totalitarny ustrój państwa lub nawołuje do nienawiści na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych albo ze względu na bezwyznaniowość, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 2.

§ 2. Tej samej karze podlega, kto w celu rozpowszechniania produkuje, utwala lub sprowadza, nabywa, przechowuje, posiada, prezentuje, przewozi lub przesyła druk, nagranie lub inny przedmiot, zawierające treść określoną w § 1 albo będące nośnikiem symboliki faszystowskiej, komunistycznej lub innej totalitarnej.

§ 3. Nie popełnia przestępstwa sprawca czynu zabronionego określonego w § 2, jeżeli dopuścił się tego czynu w ramach działalności artystycznej, edukacyjnej, kolekcjonerskiej lub naukowej.

§ 4. W razie skazania za przestępstwo określone w § 2 sąd orzeka przepadek przedmiotów, o których mowa w § 2, chociażby nie stanowiły własności sprawcy.

Art. 257.

Kto publicznie znieważa grupę ludności albo poszczególną osobę z powodu jej przynależności narodowej, etnicznej, rasowej, wyznaniowej albo z powodu jej bezwyznaniowości lub z takich powodów narusza nietykalność cielesną innej osoby, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3.

[4]. Argument o „uciszaniu” kobiet i członków mniejszości narodowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych czy seksualnych przez pornografię i „mowę nienawiści” opiera się na twierdzeniu, że obecność pornografii i „mowy nienawiści” w przestrzeni publicznej prowadzi do tłumienia ekspresji kobiet i przedstawicieli mniejszości, którzy powstrzymują się od zabierania głosu na dotyczące ich tematy w wyniku zastraszenia czy poniżenia, jakie wywołuje u nich pornografia i/lub „hate speech”. Zachodzi jednak pytanie, czy są dowody na to, że pornografia i „mowa nienawiści” mają taki właśnie efekt? Gdyby tak było, to w Stanach Zjednoczonych – gdzie to, co określa się zwykle mianem „mowy nienawiści” nie jest zakazane przez prawo - organizacje walczące o społeczną pozycję i prawa mniejszości byłyby mniej aktywne i mniej śmiałe, niż w krajach, w których „hate speech” traktowana jest jako przestępstwo. Czy tak jest? Otóż, nic mi o tym nie wiadomo i nie zetknąłem się z żadnymi danymi mającymi potwierdzić taką tezę – podobnie, jak nie zetknąłem się z danymi mającymi udowodnić słuszność ewentualnego twierdzenia, że kobiety w krajach mających liberalne prawa dotyczące pornografii (np. w Danii) mniej chętnie zabierają głos na swoje (i nie swoje) tematy, niż w krajach, gdzie pornografia jest zakazana (np. w państwach arabskich). Gdyby zresztą nawet argument ten był w jakimś stopniu prawdziwy (możliwe, że jest – w jednostkowych przypadkach) to użycie go w celu ograniczenia wolności słowa jednych ludzi (np. pornografów i „nienawistników”) po to, by swobodniejszy i wyraźniej słyszany był głos innych – np. kobiet i przedstawicieli mniejszości narodowościowych, etnicznych, rasowych, seksualnych itp. byłoby cokolwiek problematyczne. Mnie nieraz zdarzało się nie zabierać głosu na jakiś temat z powodu zniechęcenia ilością komentarzy pod danym artykułem (mógłbym się wypowiedzieć, gdyby komentarzy było – powiedzmy 20, czy nawet 50 lub 100 – nie widziałem sensu tego, gdy komentarzy było np. 500 – jasne było, że mało kto to przeczyta i mój głos utonie w powodzi innych), albo też poziomem tych komentarzy – szkoda przecież dyskutować z idiotami. Mam prawo domagać się od państwa, by zabroniło innym wypowiadać się w taki sposób, który subiektywnie zniechęca mnie do wypowiedzi?

[5]. „Przyrodzona i niezbywalna godność człowieka stanowi źródło wolności i praw człowieka i obywatela. Jest ona nienaruszalna, a jej poszanowanie i ochrona jest obowiązkiem władz publicznych”.

[6]. Rzecz jasna, zwolennicy zakazów „hate speech” niekoniecznie są zwolennikami zakazów pornografii (zwłaszcza tej niełącej seksu z przemocą i nie ukazującej wykorzystywania nieletnich) – i *vice versa*. W ogóle wydaje mi się, że wielu rzeczników zakazu „mowy nienawiści” jest zwolennikami generalnie rzecz biorąc szerokiego zakresu swobody ekspresji – w tym sensie, że nie mają oni nic przeciwko dekryminalizacji wypowiedzi np. znieważających organa władzy, czy obrażających uczucia religijne. Zauważmy, że organizacje opowiadające się za istnieniem w systemie prawnym takich przepisów, jak art.

256 i 257 k.k. (względnie takim ich rozszerzeniem, by ochroną przed „mową nienawiści” zostały objęte grupy tego rodzaju, co homoseksualiści, lesbijki, transseksualiści, kobiety, niepełnosprawni i osoby w podeszłym wieku) – np. [„Otwarta Rzeczpospolita”](#) i [„Kampania Przeciw Homofobii”](#) – w sposób zdecydowanie niechętny odniosły się do przedstawionej przez Platformę Obywatelską propozycji zmiany art. 256 § 1 kodeksu karnego, w myśl której przestępstwem miałoby się stać publiczne nawoływanie do nienawiści przeciwko grupie osób lub osobie, a także znieważenie grupy osób bądź osoby nie tylko - jak ma to miejsce obecnie - z powodu jej przynależności narodowej, etnicznej, rasowej, wyznaniowej lub z powodu jej bezwyznaniowości, ale także z powodu jej przynależności politycznej, społecznej, naturalnych cech osobistych lub przekonań (odnośnie tej propozycji zob. mój [List do posłów, członków Komisji Nadzwyczajnej do Spraw Zmian w Kodyfikacjach w sprawie projektu nowelizacji artykułu 256 kodeksu karnego](#)).

Zachodzi jednak pytanie, czy rozumowanie zwolenników zakazu „hate speech” – gdyby zastosować je konsekwentnie – usprawiedliwiałoby zakazy wyłącznie „mowy nienawiści” dotyczącej mniejszości narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych i ewentualnie seksualnych, a także np. niepełnosprawnych, osób w podeszłym wieku czy transseksualistów – lecz już nie wypowiedzi znieważających władze, bluźnierczych, czy nawołujących do nienawiści wobec grup wyróżniających się np. przekonaniami, bądź przynależnością polityczną? Osobiście śmiem w to wątpić. Jeśli ktoś uważa, że nawoływanie do nienawiści (a więc po prostu wrogiej emocji) wobec grup narodowościowych, etnicznych, rasowych czy religijnych, a także znieważanie takich grup powinno być zakazane z tego powodu, że może ono prowadzić do przemocy przeciwko członkom takich grup, to niech pomyśli np. o przemocy sprowokowanej przez publikację karykatur proroka Mahometa w duńskiej gazecie „Jyllands – Posten” w sierpniu 2005 r. Oczywiście – związek między wspomnianą publikacją, a aktami przemocy, do których doszło w krajach muzułmańskich podczas protestów przeciwko tej publikacji był zbyt odległy i zbyt luźny, by mógł – w moim odczuciu – usprawiedliwiać pociągnięcie autorów owej publikacji, względnie wydawców gazety, w której się ona ukazała do odpowiedzialności z racji zagrożenia, jakie stworzyli oni dla innych. Emocje, jakie u niektórych muzułmanów mógł wywołać np. widok proroka Mahometa z bombą na głowie zamiast turbanu (pamiętajmy, że ortodoksyjny Islam zakazuje wszelkich wizerunków Mahometa, podobnie, jak wizerunków Allaha) mogły w jakiś sposób usposobić ich do działań polegających na użyciu siły, trudno jednak powiedzieć, by mogły wywoływać takie działania w sposób bezpośredni, czy tym bardziej automatyczny. Publikacja w gazecie, czy na stronie internetowej treści bluźnierczych dla wyznawców jakiejś religii z pewnością nie jest ekwiwalentem podburzania już rozwścieczonego tłumu do zlinczowania osoby, będącej obiektem nienawiści owego tłumu. Zauważmy, że żadne akty przemocy, będące reakcją na karykatury zamieszczone w Jyllands – Posten nie miały miejsca w kilku pierwszych miesiącach po ich ukazaniu się – doszło tylko do pokojowych demonstracji, a także grózb zabójstwa przeciwko dwóm autorom karykatur. Przemocy – ani żadnych widocznych protestów – nie wywołała publikacja sześciu karykatur Mahometa (wraz z mocno potępiającym je komentarzem) w jednej z gazet w Egipcie (zob. https://en.wikipedia.org/wiki/Timeline_of_the_Jyllands-Posten_Muhammad_cartoons_controversy). Późniejsze zamieszki, w tym podpalenia

zachodnich ambasad i nawet zabójstwa, do których doszło w takich krajach, jak Liban, Syria, Afganistan, Pakistan i Nigeria też nie były jakąś spontaniczną reakcją muzułmanów, wywołaną oburzeniem, odczutym przez nich w następstwie obejrzenia bluźnierczych w świetle islamu karykatur Proroka. Do zbiorowych aktów gwałtu z powodu treści zamieszczonych w Jyllands – Posten (i przedrukowanych przez szereg innych gazet i czasopism, oraz umieszczonych w Internecie) nie doszłoby, gdyby pewni ludzie nie znaleźli w tych treściach pretekstu do tego, by do takich aktów zachęcić i je wywołać. Taki związek między jakąś wypowiedzią (bądź np. serią wypowiedzi) a przemocą jest z pewnością zbyt odległy, by mógł on usprawiedliwić pociągnięcie kogoś do odpowiedzialności za wypowiedź: nikt nie może odpowiadać prawnie po prostu za to, jak inni wykorzystali jego słowa, bądź (jak w przypadku Jyllands – Posten) obrazy czy rysunki. O aktach przemocy „wywołanych” (to oczywiście złe określenie, dlatego słowo *wywołanych* piszę w cudzysłowie) przez karykatury Mahometa zamieszczone w Jyllands – Posten i następnie opublikowane w innych gazetach, czasopismach i na stronach internetowych można jednak powiedzieć to, że były one reakcją (choć nie reakcją spontaniczną, bezpośrednią, czy też zamierzoną przez autorów publikacji) na *konkretne* treści, które pojawiły się w środkach masowego przekazu. To samo można, rzecz jasna, powiedzieć o aktach przemocy (czy groźbach takich aktów) będących następstwem umieszczenia w Internecie filmu [„Niewinność muzułmanów”](#) czy palenia Koranu przez amerykańskiego pastora [Terry’ego Jonesa](#). Czy znane są podobnego rodzaju reakcje na wypowiedzi z gatunku rasistowskiej, ksenofobicznej, znieważającej jakąś grupę wyznaniową, bądź homofobicznej „hate speech”? Ktoś mógłby próbować różnicować publikacje tego typu, co karykatury Mahometa w Jyllands – Posten i „mowę nienawiści” przeciwko grupom narodowościowym, rasowym, religijnym etc. przy użyciu argumentu, że przemoc będąca następstwem publicznej „hate speech” jest wynikiem raczej przekonania do poglądów, wyrażanych przez „nienawistną mowę”, niż oburzenia takimi poglądami – podczas gdy przemoc „powodowana” przez treści tego typu, co karykatury proroka Mahometa w Jyllands – Posten jest wynikiem gniewu, jakie treści te wywołują u ludzi, dla których treści te stanowią bluźnierstwo, ale rozróżnienie to nie wydaje się dostarczać usprawiedliwienia dla odmiennego traktowania takich treści i „mowy nienawiści”. Przed wszystkim, warunkiem karalności „hate speech” nie jest to, by miała ona na celu wywołanie przemocy (ani to, by bezpośrednio mogła ją wywołać). Wystarczającym – jak się zdaje – w oczach zwolenników zakazów „mowy nienawiści” powodem do karalności wypowiedzi znieważających takie czy inne grupy narodowościowe, rasowe, religijne itp. bądź nawołujących do nienawiści wobec takich grup jest to, że wypowiedzi te – poprzez sączenie w ludzkie umysły pewnych przekonań i wywoływanie lub podsycanie pewnych emocji - mogą się w jakiś pośredni sposób przyczyniać do czynów krzywdzących członków takich grup. To, czy te wypowiedzi zmierzają do wywołania przemocy – w odróżnieniu od nienawiści, względnie pogardy – przeciwko osobom należącym do grup, których dotyczy nienawistna propaganda – jest bez znaczenia: warunkiem karalności ani publicznego „nawoływania do nienawiści”, ani znieważenia jakiejś grupy narodowościowej, etnicznej, rasowej, religijnej czy wyróżniającej się bezwyznaniowością nie jest to, by miało ono na celu spowodowanie jakichś wrogich działań przeciwko członkom takiej grupy. Czy może mieć w związku z tym jakieś znaczenie to, czy przemoc, do której choćby w odległy i niezamierzony bezpośredni sposób może przyczynić się jakaś wypowiedź lub publikacja byłaby wynikiem przekonania do treści

zawartych w owej wypowiedzi (bądź publikacji), czy też wynikiem oburzenia tymi treściami? Nieprzekonujące byłoby też różnicowanie prawnego podejścia do „hate speech” i ekspresji tego rodzaju, co karykatury Mahometa w Jyllands – Posten przy użyciu argumentu, że o ile „mowa nienawiści” dotyczy się ludzi – których należy chronić przed fizyczną i (do pewnego przynajmniej stopnia) psychiczną krzywdą – to ekspresja tego typu, co wspomniane karykatury Mahometa dotyczy się bytów, które istnieją tylko w wyobraźni czy wierzeniach niektórych osób – i którym realnej krzywdy wyrządzić się nie da. Takie rozróżnienie może być przekonujące dla wyznających świecki humanizm zwolenników zakazów „mowy nienawiści” lecz nie dla muzułmanów, dla których Mahomet nie jest postacią legendarną, czy tym bardziej zmyśloną, lecz kimś wciąż istniejącym naprawdę – tak, jak dla chrześcijan kimś naprawdę ciągle istniejącym jest Jezus Chrystus – fizycznie żyjący na Ziemi ok. 2000 lat temu. W każdym razie, jeśli ktoś chciałby uzasadniać karalność „mowy nienawiści” tym, że „mowa” taka powoduje krzywdę psychiczną u członków grup, których się dotyczy, to winien pamiętać, że np. u muzułmanów wypowiedzi odbierane przez nich, jako znieważające ich religię wywołują prawdopodobnie znacznie większą dolegliwość emocjonalną, niż wypowiedzi bezpośrednio znieważające ich jako grupę wyznaniową: bądź co bądź, nie było zamieszek wywołanych przez wyznawców islamu w następstwie konkretnych wypowiedzi obrażających ich jako grupę bądź nawołujących do nienawiści wobec nich jako grupy – były natomiast zamieszki, których powodem była publikacja treści uznanych przez muzułmanów za bluźnierczy atak na coś, co w ich oczach stanowi świętość.

Konsekwentnie zastosowane rozumowanie zwolenników zakazów „mowy nienawiści” uzasadniałoby więc kryminalizację wypowiedzi znieważających np. obiekty kultu religijnego (w rodzaju Boga, czy proroka Mahometa) tak samo, jak wypowiedzi znieważających grupy rasowe, narodowościowe, czy religijne lub „nawołujących do nienawiści” przeciwko takim grupom. Trzeba by w każdym razie użyć jakichś dość sztucznych i przekonujących tylko dla niektórych osób rozróżnień – takich, jak rozróżnienie wypowiedzi mogących prowadzić do przemocy (nawet w jakiś odległy sposób) w wyniku przekonania do jakichś poglądów i wypowiedzi mogących prowadzić do przemocy w następstwie oburzenia wywołanego treścią tych wypowiedzi, rozróżnienie wypowiedzi atakujących ludzi i wypowiedzi atakujących wierzenia czy obiekty kultu religijnego – by próbować uzasadnić potrzebę karalności „hate speech” – przy jednoczesnym braku potrzeby karalności wypowiedzi odbieranych przez pewne grupy jako bluźnierstwo.

Rozumowanie leżące u podstawy zakazów ‘hate speech’ – przy minimalnej może jego modyfikacji – mogłoby też zostać użyte w celu uzasadnienia zakazu wypowiedzi atakujących wartości związane z religią w oparciu o inny, niż dotyczący potencjalnego wywoływania przemocy wskutek oburzenia niektórych ludzi bluźnierczymi w ich odczuciu treściami argument: taki mianowicie, że religia – w tym zwłaszcza promowane przez nią nakazy moralne i wiara w to, że człowieka – w zależności od tego, czy przestrzegał tych nakazów - czeka po śmierci, albo wieczna nagroda, albo niekończąca się nigdy kara – jest podstawą ładu społecznego – i że jeśli się tę podstawę podkopie, przekonując ludzi do tego, że takie byty, jak Bóg, sąd ostateczny, niebo i piekło są ludzkim wymysłem to ład ten się zawali i nastąpi ogólne zdziczenie, powszechna nieuczciwość, przemoc i generalna *bellum omnium contra*

omnes (wiadomo: „Boga nie ma – wszystko wolno”). Warto uświadomić sobie, że takie właśnie uzasadnienie penalizacji wypowiedzi atakujących chrześcijaństwo obiegowo funkcjonowało w Wielkiej Brytanii w czasach, gdy znane w brytyjskim *common law* przestępstwo bluźnierstwa – wciąż rozumiane niezmiennie szeroko – przestało być już postrzegane jako przestępstwo przeciwko Bogu, a zaczęło być traktowane jako przestępstwo przeciwko porządkowi publicznemu (zob. na ten temat w artykułach [Jacoba Mchangamy](#) i [Roberta Post’a](#)).

Wyznający zasadniczo rzecz biorąc laicki światopogląd zwolennicy przepisów przeciwko „hate speech” z pewnością odrzuciliby takie uzasadnienie represjonowania za antyreligijne wypowiedzi. Ja również – choć w Boga akurat wierzę – uważam taką przesłankę karalności bluźnierstw i ataków na religię za fałszywą. Nie ma dowodów na to, że ludzie wierzący są generalnie rzecz biorąc bardziej uczciwi, przestrzegający podstawowych zasad moralnych i po prostu w zwyczajnym, ludzkim sensie tego słowa lepsi, niż ateści czy agnostycy. Niektóre kraje, w których żyje bardzo wysoki procent ludzi niewyznających żadnej religii – jak choćby państwa skandynawskie – są bezpieczniejszym i ogólnie mówiąc lepszym miejscem do życia, niż pewne kraje, których ludność jest wysoce religijna – np. państwa Ameryki Łacińskiej. Problem jest jednak w tym, że wielu ludzi wciąż przekonanych jest do tego, że religia jest podstawą społecznej moralności i że bez religii moralność ta zawali się niczym dom, pod którym podkopano fundamenty. Rozumowanie mogące prowadzić do przekonania o zasadności istnienia w systemie prawnym przepisów przeciwko „hate speech” (w rodzaju artykułów 256 i 257 k.k.) – przejęte przez ludzi o nieco innym sposobie myślenia i trochę odmiennym od wyznawanego przez laickich zwolenników zakazów „mowy nienawiści” systemie wartości – mogłoby więc prowadzić do konkluzji o potrzebie istnienia w prawie karnym zakazów wypowiedzi nieporównanie szerszych, niż ten, który zawarty jest w artykule 196 k.k., zgodnie z którym „Kto obraża uczucia religijne innych osób, znieważając publicznie przedmiot czci religijnej lub miejsce przeznaczone do publicznego wykonywania obrzędów religijnych, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 2”. A przecież art. 196 k.k. jest przepisem krytykowanym przez wielu zwolenników zakazów „hate speech” – bynajmniej nie z tego powodu, że zabrania on zbyt wąskiego zakresu ekspresji. (odnośnie mojej opinii o art. 196 k.k. zob. artykuł [„Przestępstwo uczuć religijnych, a wolność słowa”](#) – opublikowany w 2002 r. na fali dyskusji na temat procesu [Doroty Nieznańskiej](#)).

Jest też jeszcze jedna kwestia: czy można w sposób uczciwy opowiadać się za kryminalizacją „nawoływania do nienawiści” (a także znieważania) przeciwko grupom wyróżniającym się z ogółu społeczeństwa takimi cechami, jak przynależność narodowa, etniczna, rasowa, wyznaniowa lub bezwyznaniowość – czego zabraniają art. 256 i 257 k.k. w ich obecnym brzmieniu – i ewentualnie też przeciwko grupom charakteryzującym się takimi wspólnymi cechami, jak wiek, płeć, tożsamość płciowa, niepełnosprawność i orientacja seksualna – co postuluje np. Kampania Przeciw Homofobii – i jednocześnie za tolerowaniem „mowy nienawiści” wobec tych grup, których członków od ogółu społeczeństwa wyróżniają jakiegokolwiek inne cechy – np. status materialny, sposób zdobycia majątku, pochodzenie społeczne, miejsce zamieszkania, przynależność polityczna, przekonania, styl życia – bądź

cechy osobiste w rodzaju choćby otyłości, łysiny czy rudych włosów? Pytanie to zadaję w związku z tym, że organizacje opowiadające się za nie tylko istnieniem w systemie prawnym obecnych zakazów „mowy nienawiści”, ale też za rozszerzeniem tych zakazów tak, aby obejmowały wypowiedzi atakujące takie grupy, jak homoseksualistów, lesbijki, kobiety, niepełnosprawnych, transseksualistów i osoby w podeszłym wieku - takie, jak „Otwarta Rzeczpospolita” i „Kampania Przeciw Homofobii” odniosły się nader krytycznie do propozycji Platformy Obywatelskiej, w myśl której przestępstwem miałyby się stać nawoływanie do nienawiści wobec grupy osób albo konkretnej osoby z powodu jej przynależności politycznej, społecznej, naturalnych lub nabytych cech osobistych lub przekonań.

Odnosnie tego problemu trzeba się zgodzić ze stwierdzeniem Wojciecha Sadurskiego i Aleksandry Gliszczyńskiej – Grabias (zawartym w opublikowanym przez nich w „Gazecie Wyborczej” artykule „Która zniewaga kary wymaga?” – do którego odniosłem się w eseju [„Zakazy ‘mowy nienawiści’ – lekarstwo gorsze od choroby”](#)), że w naszym kręgu cywilizacyjnym nie było związanych z nienawiścią rzezi rudych, grubych czy łysych – lecz rzezie osób należących do pewnych grup narodowościowych – jak najbardziej. To prawda. Trudno temu zaprzeczyć. Ale trudno jest też zaprzeczyć temu, że w naszym kręgu cywilizacyjnym zdarzała się masowa przemoc przeciwko członkom tych grup, które z ogółu społeczeństwa wyróżniały inne cechy, niż narodowość, przynależność etniczna, rasa, wyznanie (czy bezwyznaniowość) - a także płeć, tożsamość płciowa, wiek, niepełnosprawność, bądź orientacja seksualna. Pomyślmy tu o np. terrorze wobec „kułaków” w stalinowskim ZSRR. Pomyślmy o wojnie domowej w Hiszpanii – i poprzedzającym ją okresie wzmożonej przemocy na tle politycznym. Podłożem tych akurat zbrodni i konfliktów nie było przekonanie o niższości jakichś grup narodowościowych, etnicznych, czy rasowych, lecz nienawiść wobec ludzi wyróżniających się ze społeczeństwa takimi cechami, jak pozycja w życiu ekonomicznym (i co najmniej *implicite* poglądy) – lub radykalnie odmienne wizje społecznego i politycznego porządku, jaki winien panować w kraju. Nienawiść na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych albo ze względu na bezwyznaniowość – a także ze względu na płeć, tożsamość płciową, wiek, niepełnosprawność, czy orientację seksualną – nie jest jedyną, która potrafi prowadzić do brutalnej przemocy. W Polsce w czasach zupełnie niedawnych miały miejsce mające wszelkie cechy „hate crimes” przestępstwa wobec osób charakteryzujących się takimi cechami, jak znajdowanie się pod wpływem alkoholu czy narkotyków lub bezdomność. Przychodzi tu na myśl choćby głośne niegdyś „czyszczenie Legionowa” w lecie 1995 r. Do pobić i zabójstw znajdujących się w stanie nietrzeźwości bezdomnych doszło miesiąc po tym, jak sprawcy tych brutalnych zbrodni nasłuchali się wypowiedzi Janusza Bryczkowskiego, mówiącego o szkodliwości pijaństwa i wygłaszającego stwierdzenia tego rodzaju, że „z pijaństwem należy walczyć zarówno słowem, jak i czynem”. Związek tych ostatnich przestępstw (znów – nie na tyle bliski, by mógł w moim przekonaniu usprawiedliwić pociągnięcie do odpowiedzialności za same wypowiedzi – przestępstwa te nie były mimo wszystko „natychmiastową bezprawną akcją” którą Bryczkowski umyślnie wywołał swymi słowami – o tym, że prawo powinno zakazywać publicznych wypowiedzi z racji tego, że mogą prowadzić do popełnienia przestępstwa tylko w takim zakresie pisałem w artykułach [„Za niebezpieczne poglądy do](#)

[więzienia?”](#) – zob. przypis 16, [„Czy publiczne nawoływanie do popełnienia przestępstwa powinno być przestępstwem – a jeśli tak, to kiedy?”](#) i [„Cejrowski, nawoływanie do przestępstwa i wolność słowa”](#)) z tym, co można byłoby określić jako „mowę nienawiści” wobec ludzi nadużywających alkoholu wydaje się oczywisty. Lecz pijacy nie są grupą, którą organizacje typu „Otwartej Rzeczypospolitej” czy „Kampani przeciw homofobii” chciałby chronić przed „mową nienawiści”. Nie są też takimi grupami np. narkomani czy bezdomni. Dlaczego? Czy – zakładając słusność zakazu „mowy nienawiści” wobec grup narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych, a także wyróżniających się bezwyznaniowością, lub takimi cechami, jak płeć, tożsamość płciowa, wiek, niepełnosprawność, bądź orientacja seksualna (czego oczywiście nie zakładam, ale co z pewnością zakładają aktywiści „Otwartej Rzeczypospolitej” i „Kampanii przeciw homofobii”) grupy tego rodzaju nie zasługują na taką samą ochronę przed „hate speech” jaką cieszą się grupy narodowościowe, etniczne, rasowe, wyznaniowe, czy wyróżniające się brakiem wyznania – i jaką zdaniem np. „Kampanii przeciw homofobii” powinny się cieszyć grupy wyróżniające się płcią, tożsamością płciową, niepełnosprawnością, wiekiem oraz orientacją seksualną? Teoretycznie rzecz biorąc, oczywiście tak. Tyle tylko, że stanowienie prawa nie opiera się wyłącznie na teoriach – choćby najmądrzejszych – ani na samej słusności czy sprawiedliwości – opiera się natomiast na sile (w dzisiejszym świecie raczej w sensie siły politycznej, poparcia społecznego, niż np. siły zbrojnej). Prawda jest taka, jak [pisał Jacob Mchangama](#): ochrony przed „hate speech” mogą w sposób poważny, mający szanse na wprowadzenie jej do systemu prawnego, domagać się nie te grupy, które są najbardziej znienawidzone i pogardzane przez społeczeństwo (czy jakąś istotną część społeczeństwa) – pomyślmy tu o takich grupach, jak alkoholicy, narkomani, więźniowie – czy byli więźniowie, dawni ubecy, pedofile, czy wreszcie np. też niedarzeni chyba powszechną sympatią neonaziści – lecz te grupy, które wciąż będąc grupami, wobec których istnieją rozmaite uprzedzenia i w jakimś – poważnym czasem stopniu – nawet nienawiść –zdołały mimo wszystko jakąś sympatię, pewien poziom szacunku w społeczeństwie i związany z tym udział w życiu publicznym. Taką grupą w wielu krajach europejskich – także i w Polsce (choć również w USA, gdzie prawo nie zabrania „mowy nienawiści”) są geje i lesbijki. Poziom uprzedzeń wobec tej grupy jest w Polsce wciąż niewątpliwie wysoki. Jej członkowie nieraz – jak wynika z rozmaitych doniesień medialnych – padają ofiarą aktów przemocy, po części przynajmniej wynikających z braku akceptacji dla homoseksualizmu. Lecz mimo wszystko tolerancja dla gejów i lesbijek jest w dzisiejszej, *Anno Domini* 2013 Polsce znacznie większa, niż – powiedzmy - 20 czy nawet 10 lat temu. Znacznie więcej Polaków, niż w czasach jeszcze przecież niedawnych, uważa to, że częścią społeczeństwa są także geje i lesbijki za rzecz normalną i nie ma nic przeciwko temu, by ludzie tacy mogli żyć tak, jak chcą. Zmiany te – zgoda, że niewystarczające – dokonały się bez prawa zabraniającego „nawoływania do nienawiści” przeciwko gejom i/lub lesbijkom oraz znieważania gejów i lesbijek jako całej grupy. Czy mogłyby być większe, gdyby do polskiego prawa wprowadzono zakaz „mowy nienawiści” wobec osób o orientacji homoseksualnej? Trudno jest na to pytanie odpowiedzieć w sposób pewny – ale wymowny w tym względzie i sugerujący dość jednoznaczną odpowiedź jest wykres zamieszczony w [artykule \(z 2011 r.\) o akceptacji homoseksualizmu w Holandii](#) – kraju, którego prawo zabrania nawoływania do nienawiści oraz dyskryminacji przeciwko m.in. homoseksualistom i znieważania homoseksualistów jako całej grupy: z

wykresu tego (na 21 stronie 36 stronicowego pliku PDF) wynika, że radykalna redukcja postaw homofobicznych w holenderskim społeczeństwie nastąpiła w latach 70. XX wieku – na długo przed tym, zanim „mowa nienawiści” przeciwko gejom i lesbijkom zaczęła być traktowana w Holandii jako przestępstwo.

Zachodzi zatem pytanie, czy szermierze walki z „mową nienawiści” w Polsce – w rodzaju organizacji typu „Otwartej Rzeczypospolitej” i „Kampanii przeciw homofobii” - chcą chronić przed „hate speech” te grupy, które według tego, co organizacje te generalnie rzecz biorąc deklarują, najbardziej zasługują na taką ochronę – z tego względu, że są najbardziej pogardzane i najbardziej narażone na ataki? Można w to wątpić. Nikt w sposób uczciwy i nieprzeczący faktom nie może zakwestionować tego, że przemoc wobec homoseksualistów jest Polsce poważnym problemem społecznym. Jednak grupą, której członkowie też nieraz padają ofiarą przemocy – niekiedy posuwającej się do zabójstw – są np. bezdomni. Akty przemocy wobec bezdomnych często mają wszelkie cechy „hate crimes” – w tym sensie, że mają one na celu przede wszystkim skrzywdzenie i poniżenie takich osób, wyżycie się na nich – a nie, powiedzmy, zdobycie pieniędzy czy jakichś wartościowych przedmiotów. Przestępstwa przeciwko bezdomnym mają – w pewnym przynajmniej stopniu – podłoże w pewnych stereotypach, pewnych komunikowanych w społeczeństwie przekonaniach na temat członków tej grupy: że bezdomny to ktoś, kto zasłużył na swoją sytuację, że to alkoholik, narkoman, męt społeczny, śmieć. Coś, co można byłoby określić mianem „mowy nienawiści” wobec bezdomnych może więc owocować rzeczywistymi przestępstwami przeciwko bezdomnym (co nie znaczy oczywiście, że zakaz „hate speech” przeciwko tej grupie spowodowałby, że jej sytuacja stałaby się naprawdę lepsza – ja w to w każdym razie nie wierzę) – jednak żadna znana mi organizacja społeczna w Polsce nie postuluje rozszerzenia art. 256 i 257 kodeksu karnego tak, by nawoływanie do nienawiści przeciwko bezdomnym i znieważanie grupy ludności albo konkretnej osoby z powodu jej bezdomności stało się przestępstwem. Zakładając więc, że dla aktywistów takich organizacji, jak „Otwarta Rzeczypospolita” i „Kampania przeciw homofobii” ludzka godność członków pewnych grup i ich poczucie bezpieczeństwa (piszę „poczucie” bo warunkiem karalności „mowy nienawiści” nie jest rzeczywiste zagrożenie czyjegokolwiek bezpieczeństwa) są większymi wartościami, niż wolność słowa widać jednocześnie, że wartości te są przez nich traktowane w sposób wybiórczy – w zależności od tego, kogo dotyczą. W przypadku takich grup, jak Żydzi, Romowie, czy homoseksualiści są one na tyle ważne, by chronić te grupy przed „mową nienawiści” – nawet jeśli „mowa” taka nie powoduje bezpośredniego niebezpieczeństwa wyrządzenia im fizycznej krzywdy (ani też nie jest bezpośrednim dręczeniem bądź zastraszaniem konkretnych osób) a jedynie – jak się uważa – może się do wyrządzenia takiej krzywdy potencjalnie przyczynić - w przypadku innych – jak choćby bezdomnych – już nie: grupami tymi, dopóki nie nawołuje się do, powiedzmy, popełnienia przestępstw przeciwko ich członkom, można pomiatać do woli. Czy organizacje w rodzaju „Otwartej Rzeczypospolitej” i „Kampanii przeciw homofobii” – a także [Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka](#), która poparła takie rozszerzenie art. 256 i 257 k.k. by grupą chronioną przed „hate speech” stali się np. homoseksualiści, lecz sprzeciwiła się pomysłowi PO, by za przestępstwo uznać nawoływanie do nienawiści i znieważanie z powodów przynależności politycznej, społecznej, naturalnych lub nabytych cech osobistych oraz przekonań – mogą zatem uczciwie

twierdzić, że bronią praw człowieka? Prawa człowieka mają do siebie to, że ich charakter jest z założenia uniwersalny: albo wszyscy mamy jakieś prawo – w tym – założmy dla dobra argumentacji – prawo do ochrony przed „mową nienawiści” nawet gdy nie dotyczy ona nas osobiście, a raczej jako po prostu jednych z wielu członków jakiejś większej grupy – albo takiego prawa nie ma nikt z nas. W przeciwnym bowiem razie „prawo” to nie jest tak naprawdę żadnym prawem, a jedynie grupowym przywilejem. Przywileje dla pewnych grup czy osób z powodu przynależności do tych grup w zakresie ochrony przed „mową nienawiści” wydają mi się z ideą praw człowieka (poważnie traktowaną – wiem, co mówi np. art. 20 [Międzynarodowego Paktu Praw Obywatelskich i Politycznych](#), czy art. 4a [Międzynarodowej Konwencji w Sprawie Eliminacji Wszelkich Form Dyskryminacji Rasowej](#) – na temat tych przepisów i historii ich uchwalenia polecam [artykuł Jacoba Mchamgamy](#)) fundamentalnie sprzeczne.

Stanowisko takich organizacji, jak „Otwarta Rzeczpospolita” „Kampania przeciw homofobii” i – co szczególnie ważne – Helsińska Fundacja Praw Człowieka – w kwestii „mowy nienawiści” podważa więc wiarygodność tych organizacji jako ciał walczących o ochronę i przestrzeganie praw ludzkich. Stanowisko to – a właściwie to może nie samo stanowisko, ile raczej leżące u jego podstaw rozumowanie – można by też w pewnych okolicznościach obrócić przeciwko tym organizacjom. Pomyślmy tu o takich przepisach prawnych, jak wprowadzone niedawno w niektórych krajach byłego ZSRR – np. Rosji, Ukrainie i Litwie – zakazy „promowania homoseksualizmu” – w tym urządzania np. tzw. „parad równości”. Przepisy te są niewątpliwie tym, co wszystkie te organizacje bardzo stanowczo potępiają – i słusznie. Czy nie mają one jednak czegoś wspólnego z popieranymi przez te organizacje zakazami „mowy nienawiści”? Oczywiście – są olbrzymie różnice między „promowaniem homoseksualizmu” – cokolwiek miałyby to znaczyć – a „hate speech”. Promowanie homoseksualizmu nie jest nawoływaniem do nienawiści przeciwko jakiegokolwiek grupie, ani znieważaniem jakiejś grupy – jest ono afirmacją wartości wyznawanych przez członków pewnej grupy, nie skierowaną przeciwko komukolwiek w takim przynajmniej sensie, w jakim przeciwko innym skierowana jest „mowa nienawiści”. Lecz jeśli przyjrzymy się możliwym uzasadnieniom przepisów przeciwko „hate speech” – i uzasadnieniom, w oparciu o które można byłoby bronić zakazów „promocji homoseksualizmu” – to różnice między zakazami „promowania homoseksualizmu” i zakazami „mowy nienawiści” przestają być oczywiste. Przede wszystkim, promowanie homoseksualizmu – nie będąc – zgoda co do tego – bezpośrednim znieważaniem jakiejś grupy osób (np. heteroseksualistów) – jest mimo wszystko czymś, co wielu ludzi odbiera jako coś dla nich obraźliwego. Istnienie w systemie prawnym takiego choćby przepisu, jak art. 257 k.k., w myśl którego przestępstwem jest publiczne znieważenie grupy osób albo poszczególnej osoby z powodu jej przynależności narodowej, etnicznej, rasowej, wyznaniowej albo z powodu jej bezwyznaniowości” (choć oczywiście też innych przepisów – np. tych dotyczących znieważania symboli państwowych czy ochrony uczuć religijnych) sugeruje – a w każdym razie można z niego wyciągnąć taki wniosek – że wolność słowa może być ograniczona wówczas, gdy korzystanie z tej wolności przez jednych jest czymś obraźliwym dla drugih. Dalej, można twierdzić, że promowanie homoseksualizmu – poprzez emocje, jakie wywołuje u niektórych osób – może się w jakiś pośredni sposób przyczyniać do przemocy – także tej skierowanej przeciwko samym

homoseksualistom. Jest w tym artykule mowa o tym, iż wygląda na to – takie twierdzenia wysuwały w każdym razie niektóre feministki – że pewne przestępstwa przeciwko kobietom popełniane są przez mężczyzn, u których mizoginistyczną nienawiść i agresję wywołuje aktywność osób i/lub organizacji domagających się poprawy społecznej pozycji płci pięknej. Jeśli taki akurat jest (m.in.) efekt propagandy feministycznej – to czy takiego efektu nie należałoby oczekiwać w przypadku propagandy „promującej” homoseksualizm? Zakaz publicznego „promowania” homoseksualizmu można byłoby więc uzasadniać potrzebą ochrony bezpieczeństwa homoseksualistów – wartości niewątpliwie fundamentalnej (i ważniejszej od np. wolności słowa, której ograniczeniem byłby zakaz promowania homoseksualizmu) dla np. „Kampanii przeciw homofobii”. Tak – nazwijmy to – wyprzedzająca ochrona członków jakiejś grupy przed fizycznymi atakami jest według mnie czymś niemożliwym do pogodzenia z poważnie traktowaną ochroną wolności słowa – wiele typów wypowiedzi, jak pisałem w tym tekście – może się w jakiś pośredni sposób przyczyniać do przemocy – ale ktoś będący zwolennikiem zakazów „hate speech” nie może idei takiej ochrony z góry odrzucać – nie może w każdym razie odrzucać jej w imię jakichś uniwersalnych i mających zastosowanie wobec wszelkich typów wypowiedzi zasad: np. zasady, że prawo może zabraniać wypowiedzi, które z racji swego charakteru i okoliczności w jakich mają miejsce powodują bezpośrednie niebezpieczeństwo wywołania przemocy – ale nie tych wypowiedzi, które wskutek sączonych w ludzkie umysły przekonań i wywoływanych u pewnych ludzi emocji mogą przyczynić się do popełnienia takich czy innych przestępstw w jakimś bliżej nieokreślonym, przyszłym czasie. Nie będąc świadomymi rzecznikami jakiejś totalnej cenzury, organizacje typu „Otwartej Rzeczypospolitej” „Kampanii przeciw homofobii” i Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka promują więc takie rozumienie pojęcia wolności słowa (i granic tej wolności) przy którego konsekwentnym przyjęciu zakazać można byłoby właściwie wszystkiego. Przy takim podejściu do kwestii granic swobody wypowiedzi, jakie lansują wspomniane organizacje – i które wciąż pokutuje w większości nawet demokratycznych i generalnie rzecz biorąc respektujących ludzkie prawa krajów świata (poza – choć też z zastrzeżeniami typu „obsceniczność” – USA – pisałem o tym kiedyś w artykule [„Pornografia i gwałty – usprawiedliwienie dla cenzury?”](#)) o tym, co może, a co nie może być zakazane decydują nie zasady – w rodzaju np. znanej z amerykańskiego prawa zasady „bezpośredniego i wyraźnego niebezpieczeństwa” – też oczywiście cokolwiek śliskiej, o czym pisałem w [tym tekście](#) – lecz jakiś bliżej nieokreślony „klimat społeczny” – dziś generalnie rzecz biorąc tolerancyjny dla pewnych, czasem surowo kiedyś potępianych i nawet karanych typów ekspresji – np. znieważania organów władzy (rząd proponuje – i słusznie – znieść art. 226 § 3 kodeksu karnego, przewidujący karę do 2 lat więzienia za publiczne znieważenie lub poniżenie konstytucyjnego organu państwa) i jednocześnie nietolerancyjny wobec innych – np. propagowania faszyzmu (choćby poprzez tzw. [hajlowanie](#) czy namalowanie swastyki nawet na wychodku – czy ktoś wskutek czegoś takiego może się przekonać do faszyzmu?) lub „mowy nienawiści” przeciwko mniejszościom narodowościowym, rasowym i innym (pamiętajmy przy tym, że klimat społeczny jest czymś zmiennym). I oczywiście wola tych, którzy mają władzę i decydują.

[7]. Najbardziej znane hasło ruchów anty i alterglobalistycznych to „*inny świat jest możliwy*” (w innej wersji „*lepiej świat jest możliwy*”).

[8] Odnosnie wspomnianych tu przestępstw zob. m.in.: [List of demonstrations against corporate globalization](#) (Wikipedia) [„Antyglobaliści demolowali Genewę”](#) (na blogu J.K. Mikke), [„1000 osób rannych w zamieszkach w Rostocku”](#) (Wprost), [„Demonstracje podczas szczytu MFW i BŚ w czeskiej Pradze 2000 r.”](#), [„Skąd wziął się ekoterroryzm?”](#) (Artur Olejniczak, Odkrywcy.pl), [„Terroryzm antynaukowy pod wezwaniem Kaczyńskiego”](#) (Mariusz Agnosiewicz, Racjonalista.pl), [„Atak na Wydział Farmakologii Uniwersytetu w Milanie – aktywizm czy ekoterroryzm?”](#), [„Przemoc w ruchu ekologicznym: od obywatelskiego nieposłuszeństwa do terroryzmu – przypadek Earth Liberation Front”](#) (Jarosław Tomasiewicz), [„Ekstremizm ekologiczny. Źródła, przejawy, perspektywy”](#) (Elżbieta Połuszna), [„Eco Terrorism: Radical Environmental and Animal Liberation Movements”](#) (Donald R. Liddick), [„Ecoterrorism: Environmental and Animal - Right Militants in the United States”](#) (brak wskazanego autora), [„Eco Violence: The Record”](#) (Southern Poverty Law Center), [„Anti – nuclear movement in Germany”](#) (Wikipedia) [Anti-abortion violence](#) (j.w.), [„Pro choice violence”](#) (Human Life International), [„The other side”](#) (j.w.), [„Brutal murder of pro-life activist exposes epidemic of pro-choice terrorism and violence”](#).

[9] Ja słyszałem (a właściwie czytałem) o jednej: holenderskiego anty- muzułmańskiego i anty – imigracyjnego polityka Geerta Wildersa, który domagał się, by rozpowszechnianie Koranu zostało zakazane, tak, jak zakazane jest w Holandii rozpowszechnianie „Mein Kampf” Hitlera, gdyż zawiera on „mowę nienawiści” (zob. [cytaty jego wypowiedzi](#)). Zostało to notabene uznane za „mowę nienawiści” przeciwko muzułmanom, ostatecznie jednak Wilders został uniewinniony przez sąd (zob. [podsumowanie decyzji](#), z linkami do pełnego tekstu wyroku w językach holenderskim i angielskim). Nie wglębiając się w problem tego, w jakim stopniu agresywne treści zawarte w Koranie (np. tzw. wersety miecza) stanowią źródło stosowanego przez niektórych wyznawców islamu terroryzmu (w tej kwestii polecam lekturę [wywiadu z Jeanem Alcaiderem](#) – z którego wynika, że niebezpieczeństwo islamu leży raczej w czymś innym) warto zauważyć, że Koran – którego mało kto w krajach europejskich chciałby zakazać – zawiera treści zachęcające nie tylko, że do wrogości wobec „niewiernych” (czyli tych, którzy nie wyznają islamu), ale do stosowania przemocy przeciwko nim (zob. [cytaty](#)). Słuszna *per se* tolerancja wobec rozpowszechniania Koranu w Europie jest więc w istocie uderzająca w świetle faktu, że obowiązujące i egzekwowane w krajach europejskich przepisy przeciwko „mowie nienawiści” zakazują wypowiedzi, które nie zawierają wezwań do stosowania przemocy przeciwko członkom jakichś grup narodowościowych, rasowych, religijnych itp., ani nawet pochwały czy usprawiedliwienia dla takiej przemocy.

[10] Trudno byłoby zaprzeczyć temu, że ekspresja o antyrasistowskim wydźwięku – a w każdym razie postrzegana jako mająca taki wydźwięk – potrafi dostarczać pewnym osobnikom motywacji do popełniania jak najbardziej rasistowskich przestępstw. I tak np. młodzi Murzyni bijący się z Białymi na ulicach amerykańskich miast zeznawali, że do aktów przemocy doprowadziło ich oglądanie telewizyjnego serialu [„Korzenie”](#) (o historii niewolnictwa w USA – pisze o tym [Barbara Dority](#) w artykule [„Feminist moralizm, pornography, and censorship”](#)). Opublikowany w 1979 r. raport powołanej w Wielkiej Brytanii [Komisji do Spraw Obsceniczności i Cenzury Filmów](#) wspomina o Murzynie z Jamajki, który zgwałcił białą mieszkankę Londynu, a potem twierdził, że to właśnie filmowa

wersja „Korzeni” zainspirowała go do tego, by potraktować swoją ofiarę tak, jak biali mężczyźni traktowali kiedyś czarne kobiety. Do dokonania brutalnego, rasistowskiego pobicia, o którym jest mowa w wyroku Sądu Najwyższego USA w sprawie [Wisconsin v. Mitchell](#) (sąd uznał w nim, że zastrzona karalność tzw. [przestępstw z nienawiści](#) nie jest sprzeczna z [Pierwszą Poprawką do amerykańskiej Konstytucji](#)) przyczyniły się emocje, jakie u jego sprawców wywołało obejrzenie filmu „Missisipi w ogniu” – w szczególności sceny, w której biały mężczyzna bije modlącego się czarnego chłopca. [Timothy’emu McVeigh’owi](#) natchnienia do popełnienia najbardziej chyba przerażającej w dziejach USA (przed zamachem z 11.09.2001 r.) zbrodni, jaką był zamach terrorystyczny na budynek federalny w Oklahoma City w dniu 19.04.1995 r. dostarczyły nie tylko faktycznie rasistowskie „[Dzienniki Turnera](#)” Williama Luthera Pierce’a (piszącego pod pseudonimem Andrew MacDonald), ale także napisana przez dziennikarza śledczego Jamesa Coatesa książka „Armed and Dangerous: The Rise of Survivalist Right”. Ta ostatnia publikacja, jak można przeczytać w jej [omówieniu na stronie księgarni internetowej Amazon.com](#) przedstawia historię, geografię, źródła ideologiczne i psychologiczne motywacje zasadniczych grup amerykańskiej skrajnej prawicy: neonazistów, zwolenników supremacji białej rasy, mieszkańców ogrodzonych (z przyczyn ideologicznych) osiedli, przeciwników podatków, ekstremistycznych sekt chrześcijańskich i kultów mesjanistycznych. Bynajmniej nie w celu popularyzacji takich grup i głoszonych przez nie poglądów, lecz w celu uświadomienia Amerykanom niebezpieczeństwa, jakie – zdaniem jej autora – stwarzają takie grupy. Jak w swoim artykule „[What’s Left?: Hate Speech, Pornography, and the Problem for Artistic Expression](#)” pisze [Amy Adler](#) (profesor prawa na Uniwersytecie Nowojorskim) wyraźnie przejęty tą książką MacVeigh przytaczał jej treść w szczegółach i nawet ożywił pod jej wpływem wiarę w konieczność atakowania federalnych budynków.

Ciekawe, co o takich właśnie efektach antyrasistowskich i antyfaszystowskich wypowiedzi sądzą (czy sądziliby) zwolennicy zakazów „hate speech” - w rodzaju np. aktywistów stowarzyszeń „Nigdy Więcej” i „Otwarta Rzeczypospolita”? Jak była w tym artykule mowa, wydaje się, że dla zwolenników zakazów „mowy nienawiści” zapobieganie rasistowskim aktom przemocy jest czymś tak ważnym, że skłonni są oni zakazać nie tylko takich wypowiedzi, które do takich aktów prowadzą bezpośrednio i w sposób zamierzony przez ich autorów (w rodzaju podburzania już agresywnie nastawionego tłumu do dokonania pogromu lub linczu), ale także tych wypowiedzi, które mogą dopiero przygotowywać do tego jakiś psychologiczny grunt, tworzyć „klimat” w którym rasistowskie przestępstwa stają się bardziej prawdopodobne. W opinii rzeczników prawnego tępienia „hate speech” koniecznym warunkiem traktowania rasistowskich wypowiedzi jako przestępstwa nie jest ani intencja spowodowania zakazanego prawem działania (w odróżnieniu od intencji znieważenia lub wywołania bądź podsycenia nienawiści – będącej emocją, którą przecież żyć wolno), ani „bezpośrednie i wyraźne niebezpieczeństwo” tego, że nienawistna ekspresja doprowadzi do motywowanych nienawiścią aktów przemocy. I oczywiście, nie jest też tym warunkiem wykazanie, lub choćby tylko uprawdopodobnienie, związku przyczynowo – skutkowego między ekspresją, a konkretnym przestępstwem. Na zdrowy jednak rozum, fakt, że jakiś film czy jakaś książka dostarczyły komuś motywacji do popełnienia rasistowskiego przestępstwa może być w toku rozumowania zwolenników karalności „hate speech” uznany za dowód tego,

że dana publikacja jest niebezpieczna i jej rozpowszechniania należy w związku z tym zabronić.

Pytanie zatem do zwolenników prawnego tępienia „mowy nienawiści”? Czy filmy w rodzaju „Korzeni” czy „Missisipi w ogniu” oraz książki typu „Armed and Dangerous” powinny być zakazane z tego powodu, że mogą one inspirować niektórych ludzi do popełniania motywowanych nienawiścią przestępstw? Wszak zapobieganie rasistowskim aktom przemocy jest dla zwolenników karania za „hate speech” celem tak – wydaje się przynajmniej – ważnym, że w imię realizacji tego celu należy ich zdaniem zakazać nawet tych wypowiedzi, które nie stwarzają bezpośredniego niebezpieczeństwa doprowadzenia do takich przestępstw – a co najwyżej mogą przyczyniać się do wzrostu prawdopodobieństwa, że przestępstwa takie zostaną popełnione (nawiasem mówiąc, Sąd Najwyższy USA bardzo wyraźnie stwierdził, że coś takiego nie jest dostateczną przesłanką ograniczenia wolności słowa – zob. decyzję w sprawie [Ashcroft v. Free Speech Coalition](#)). Czy może też wspomnianego rodzaju ekspresja powinna być dopuszczalna ze względu na to, że wyraża ona „właściwy” – antyrasistowski czy antyfaszystowski punkt widzenia? Nie wiem, jak na to pytanie odpowiedzieliby działacze „Otwartej Rzeczypospolitej” i „Nigdy Więcej” – najprawdopodobniej odpowiedzi byłyby różne. Z dużą dozą prawdopodobieństwa można jednak przypuszczać, że żadna ze wspomnianych organizacji nie domagałaby się karania za rozpowszechnianie antyrasistowskich filmów czy publikacji z tego powodu, że mogą one dostarczać pewnym osobnikom motywacji do popełniania rasistowskich przestępstw. Jeśli tak jest, oznacza to tyle, że motywacja zwolenników zakazów „hate speech” nie ma nic wspólnego z dążeniem – nawet w moim odczuciu przesadnym – do zapewnienia bezpieczeństwa: ich celem jest nie zapobieganie przestępstwom, które mogą być popełniane pod wpływem zarówno „mowy nienawiści” jak i wypowiedzi nie dających się uznać za „hate speech” ale po prostu wyeliminowanie z [„rynku idei”](#) wypowiedzi wyrażających obiektywnie niedopuszczalne według nich poglądy.

[11]. Zob. artykuł 32 Konstytucji:

1. Wszyscy są wobec prawa równi. Wszyscy mają prawo do równego traktowania przez władze publiczne.
2. Nikt nie może być dyskryminowany w życiu politycznym, społecznym lub gospodarczymz jakiegokolwiek przyczyny.

Zob. też artykuł 25 ust. 2:

Władze publiczne w Rzeczypospolitej Polskiej zachowują bezstronność w sprawach przekonań religijnych, światopoglądowych i filozoficznych, zapewniając swobodę ich wyrażania w życiu publicznym.

[12]. Zob. Antony D’Amato [„Porn up, rape down”](#)

[13]. Informacje za artykułem Jacoba Mchangamy [“The Harm in Hate Speech Laws”](#). Zob. też tego autora [„Hate speech and Anders Breivik”](#).

[14]. O tym, dlaczego zakazy posiadania pornografii dziecięcej są niebezpieczne bardzo przekonująco [pisał kiedyś Jacek Sierpiński](#). Warto zauważyć, że o ile Sąd Najwyższy USA jednomyślnie (choć przy pewnych opiniach tzw. zbieżnych) uznał, że zakaz produkcji i rozpowszechnienia pornografii dziecięcej nie narusza I Poprawki do Konstytucji, to w przypadku zakazu samego posiadania takiej pornografii trzech z dziewięciu sędziów uznało ten zakaz za sprzeczny z I Poprawką. Por. orzeczenia w sprawach [New York v. Ferber](#) i [Osborne v. Ohio](#).

[15]. To, że zakazy pornografii dziecięcej (przedstawiającej prawdziwe dzieci – nie tzw. [wirtualnej pornografii dziecięcej](#)) są generalnie rzecz biorąc uzasadnione nie oznacza jeszcze, że zakazy te z punktu widzenia wolności słowa nie stwarzają żadnych problemów. Co np. z pornografią z udziałem osób już „seksualnie legalnych” ale wciąż niepełnoletnich? Co z odkrytym niedawno przez media fenomenem, jakim jest tzw. [sexting?](#) (pisałem o tym we wspomnianym tekście). [Amy Adler](#) w swym znakomitym artykule [„The Perverse Law of Child Pornography”](#) pisała, że prawa przeciwko pornografii dziecięcej, spełniając niezaprzeczalnie pożyteczne społecznie funkcje, mogą też w pewnym stopniu przyczyniać się do eskalowania problemów, którym z założenia mają zapobiegać. Zdaniem Amy Adler amerykańska kultura – wskutek między innymi zakazów pornografii dziecięcej i związanych z tymi zakazami aresztowań i procesów ludzi rozpowszechniających lub posiadających taką pornografię – stała się niebezpiecznie zaprzątnięta problemami pedofilii i seksualnego wykorzystywania dzieci. Swoista dialektyka tabu (za przestępstwa seksualne przeciwko dzieciom, w tym związane z samą tylko pornografią dziecięcą można w USA trafić na bardzo wiele lat do więzienia) i pokusy jego złamania, jaką kultura ta wytwarza w umysłach niektórych ludzi może sprawiać, że niektóre osoby odczuwają większy pociąg seksualny wobec dzieci, niż odczuwałyby wówczas, gdyby zakazów tych nie było.

[16]. Zob. artykuł 191 a kodeksu karnego:

§ 1. Kto utrwała wizerunek nagiej osoby lub osoby w trakcie czynności seksualnej, używając w tym celu wobec niej przemocy, groźby bezprawnej lub podstęp, albo wizerunek nagiej osoby lub osoby w trakcie czynności seksualnej bez jej zgody rozpowszechnia, podlega karze pozbawienia wolności od 3 miesięcy do lat 5.

§ 2. Ściganie następuje na wniosek pokrzywdzonego.

Oczywiście fakt, że dana osoba nie zgadza się na rozpowszechnienie jakiegś bezpośrednio dotyczącej jej treści nie jest sam w sobie powodem do tego, by zabronić rozpowszechniania tej treści. Nikt chyba poważnie nie uważa, że np. polityk czy urzędnik państwowy sfilmowany podczas popełnienia przez niego przestępstwa (dajmy na to – przyjmowania łapówki) powinien móc na drodze prawnej doprowadzić do zakazu rozpowszechniania filmu ukazującego jego bezprawne działanie – choć gdyby to tylko od niego zależało,

rozpowszechnienie takiego filmu z pewnością zostałyby zabronione. Pornografia rejestrowana, lub rozpowszechniana bez zgody osoby, którą przedstawia jest jednak czymś innym. Film ukazujący polityka popełniającego przestępstwo jest ważną informacją o życiu publicznym w kraju, którą opinia publiczna ma prawo znać, nawet jeśli osoba, której dotyczy ta informacja nie chce, by opinia publiczna ją знаła – trudno jest coś takiego powiedzieć o aktach seksualnych z udziałem osoby, która na rozpowszechnienie rejestracji tych aktów nie wyraziła zgody. Takie rzeczy, jak nagość lub ‘czynności seksualne’ zazwyczaj rejestrowane są filmowo bądź fotograficznie w warunkach prywatności; osoba ukazana na wykonanej w takich warunkach fotografii, bądź filmie albo wie, że celem jej fotografowania lub filmowania jest produkcja pornografii, która będzie rozpowszechniana i oglądana przez innych - i dobrowolnie na to się godzi – albo też ma wszelkie powody do tego, by wierzyć w to, że jej np. nagie zdjęcia pozostaną w rękach wyłącznie jej np. seksualnego partnera, który tych zdjęć nie będzie pokazywał bez jej zgody innym – o publicznym rozpowszechnianiu nie mówiąc, albo też – co jest inną możliwością – nagość lub akty seksualne z udziałem tej osoby rejestrowane są ukrytą kamerą, tak, że osoba ta nie zdaje sobie sprawy z tego, że jest fotografowana lub filmowana, bądź – to ostatni wariant – osoba ta wie o tym, że jest filmowana czy fotografowana, ale odbywa się to bez jej zgody (załóżmy, że ktoś – choć to pewnie rzadki przypadek – gwałci kobietę i jednocześnie rejestruje gwałt kamerą video). We wszystkich tych przypadkach, poza pierwszym – tj. dobrowolnym udziałem w produkcji pornografii – osoba sfotografowana bądź sfilmowana w stanie nagości lub w trakcie czynności seksualnej ma wszelkie rozsądne prawo spodziewać się, oczekiwać, lub domagać się tego, że wykonana w takich warunkach fotografia lub film z jej udziałem nie będzie rozpowszechniana – tak długo przynajmniej, jak taka fotografia czy taki film powstały w warunkach, w których tradycyjnie oczekuje się respektu dla prywatności – teoretycznie możemy bowiem wyobrazić sobie, że ktoś rozbiera się albo uprawia seks w miejscu publicznym i jest przy tym fotografowany lub filmowany bez swojej świadomej zgody – zakaz rozpowszechniania rejestracji publicznej – w odróżnieniu od prywatnej - nagości, bądź takowych aktów seksualnych nie jest dla mnie czymś oczywistym – czy np. polityk bądź ważny urzędnik (generalnie rzecz biorąc [osoba publiczna](#)) który w publicznym miejscu się rozbiera albo uprawia seks powinien mieć prawo oczekiwać, że nie zostanie w takich warunkach sfotografowany lub sfilmowany i że powstała wskutek tego fotografia bądź film nie będzie czymś rozpowszechnianym i oglądanym przez innych? Powiedzmy jednak sobie szczerze, że przypadki publicznej nagości (czy tym bardziej aktów seksualnych) są czymś zasadniczo rzeczą biorąc nietypowym – choć od razu przychodzą tu na myśl takie miejsca, jak ogólnodostępne plaże nudystów – czy są to miejsca publiczne, w których każdy może się w rozsądny sposób spodziewać tego, że będzie fotografowany bądź filmowany – tak jak jest w takim miejscu po prostu oglądamy przez innych – czy też może miejsca prywatne (na takiej samej zasadzie, na jakiej miejscami „prywatnymi” – w tym znaczeniu słowa „prywatność” jakiego tu używam – są będące publiczną własnością przebieralnie na komunalnych basenach, czy miejskie szalety) w których człowiek ma prawo oczekiwać, że nie będzie fotografowany lub filmowany bez swojej świadomej i dobrowolnej zgody? Nie wnikając głębiej w tego rodzaju problemy trzeba jednak powiedzieć to, że ludzie generalnie rzecz biorąc mają prawo oczekiwać, że „prywatna” nagość i prywatne akty seksualne z ich udziałem nie będą rejestrowane i udostępniane bez ich zgody innym. Art. 191a kodeksu karnego jest więc

zasadniczo rzecz biorąc usprawiedliwiony, zwłaszcza, że przypadki fotografowania kogoś w stanie nagości np. ukrytą kamerą lub rozpowszechniania zdjęć, co do których osoba na nich ukazana miała się wszelkie prawo spodziewać, że są robione w celach ściśle prywatnych i nie będą prezentowane innym stanowią realny problem. Zachodzi jednak pytanie, kto powinien odpowiadać za czyn określony w art. 191a k.k. (w zakresie rozpowszechniania fotografii lub filmów)? Moim zdaniem odpowiedzialność taką powinien ponosić ktoś, kto osobiście wykonał określoną w tym przepisie fotografię lub film – odpowiedzialność kogoś innego wydaje mi się bardziej wątpliwa z tego choćby względu, że ktoś taki może po prostu nie wiedzieć o tym, że osoba ukazana na danym wizerunku na jego rozpowszechnianie nie wyraziła zgody. Temu, kto wykonuje wizerunek można też przypisać zawarcie z przedstawioną na nim osobą co najmniej milczącej umowy, że wizerunek ten nie będzie rozpowszechniany – zawarcia takiej umowy nie da się przypisać komuś, kto z wykonaniem owego wizerunku nie miał bezpośrednio nic wspólnego.

[17]. Zob. artykuły 190, 190a, i 190 kodeksu karnego:

Art. 190.

§ 1. Kto grozi innej osobie popełnieniem przestępstwa na jej szkodę lub szkodę osoby najbliższej, jeżeli groźba wzbudza w zagrożonym uzasadnioną obawę, że będzie spełniona, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 2.

§ 2. Ściganie następuje na wniosek pokrzywdzonego.

Art. 190a.

§ 1. Kto przez uporczywe nękanie innej osoby lub osoby jej najbliższej wzbudza u niej uzasadnione okolicznościami poczucie zagrożenia lub istotnie narusza jej prywatność, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3.

§ 2. Tej samej karze podlega, kto, podszywając się pod inną osobę, wykorzystuje jej wizerunek lub inne jej dane osobowe w celu wyrządzenia jej szkody majątkowej lub osobistej.

§ 3. Jeżeli następstwem czynu określonego w § 1 lub 2 jest targnięcie się pokrzywdzonego na własne życie, sprawca podlega karze pozbawienia wolności od roku do lat 10.

§ 4. Ściganie przestępstwa określonego w § 1 lub 2 następuje na wniosek pokrzywdzonego.

Art. 191.

§ 1. Kto stosuje przemoc wobec osoby lub groźbę bezprawną w celu zmuszenia innej osoby do określonego działania, zaniechania lub znoszenia, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3.

§ 2. Jeżeli sprawca działa w sposób określony w § 1 w celu wymuszenia zwrotu wiarytelności, podlega karze pozbawienia wolności od 3 miesięcy do lat 5.

Oczywiście, groźby z powodu takich cech, jak narodowość, przynależność etniczna, polityczna, rasa i wyznanie mogą być ścigane w oparciu o art. 119 § 1 k.k. w myśl którego ten, kto stosuje przemoc lub groźbę bezprawną wobec grupy osób lub poszczególnej osoby z powodu jej przynależności narodowej, etnicznej, rasowej, politycznej, wyznaniowej lub z powodu jej bezwyznaniowości, podlega karze pozbawienia wolności od 3 miesięcy do lat 5. Moim zdaniem groźby z takich powodów powinny być karane w takim samym zakresie, jak inne groźby. Pisałem o tym w [tym tekście](#) (w przypisie 16), a także w artykule „[Internet bezpieczny, czy wolny? \(a może i taki, i taki?\)](#)” (w przypisie 30).

[18]. Chodzi o transparent z napisem „Litewski chamie, klękni przed polskim panem” który ukazał się na meczu Lech Poznań – Żalgiris Wilno w sierpniu 2013 r. Poznaniu.

[19]. Oczywiście, fizyczne niszczenie symboli państwowych stanowiących własność innej osoby lub własność publiczną powinno być karalne. Wystarczające do tego są jednak przepisy dotyczące przestępstw (bądź wykroczeń) przeciwko mieniu.

[20]. Prawo powinno oczywiście zabraniać utrudniania publicznym funkcjonariuszom wykonywania ich legalnych czynności, trudno jest jednak uznać każdą zniewagę funkcjonariusza publicznego podczas i w związku z wykonywaniem przez niego czynności służbowych za równoznaczną z utrudnianiem wykonywania takich czynności. W ogóle uważam, że znieważanie ludzi – nawet konkretnych, prywatnych jednostek (co stanowi w Polsce przestępstwo ścigane z oskarżenia prywatnego - zob. art. 216 [k.k.](#)) – choć jest wysoce naganne moralnie – nie powinno być prawnie zakazane, o ile nie przybiera charakteru np. słownego dręczenia (dlatego za generalnie rzecz biorąc słuszne uważam istniejące w USA prawa zabraniające tzw. [telefonicznego nękania](#)). Jaki jest w ogóle cel karania za zniewagi? Na pewno nie ochrona dobrego imienia znieważonej jednostki – od tego są przepisy dotyczące zniesławienia (kwestia tego, na ile prawo powinno chronić tą wartość kosztem wolności słowa to oczywiście złożona sprawa – trochę na ten temat pisałem [tu](#)). Więc co innego? Ochrona przed krzywdą emocjonalną, jaką może wyrządzić zniewaga? Zapewne tak, ale z tym są co najmniej trzy problemy. Po pierwsze, warunkiem karalności zniewagi nie jest to, by faktycznie wyrządziła ona znieważonemu jakąś istotną (czy właściwie nawet jakąkolwiek) psychiczną dolegliwość: wystarczy „obiektywnie” znieważający charakter wypowiedzianych lub napisanych na czyjś temat słów (albo odnoszących się do kogoś gestów). Prawny zakaz znieważania w takiej formie, w jakiej występuje on w prawie polskim jest więc w stosunku do tego celu zbyt szeroki. Po drugie, prawna ochrona przed emocjonalną krzywdą, jaką mogą ich adresatowi wyrządzić znieważające go słowa wydaje się dziwna w świetle faktu, że prawo nie chroni (i nikomu chyba nie przychodzi do głowy, by chronić mogło i powinno) przed nieporównanie poważniejszą krzywdą psychiczną, jaka może wynikać np. z odrzucenia czy zerwania związku. Wyobraźmy sobie osobę, która tuż przed planowanym ślubem oświadcza swemu narzeczonemu lub swej narzeczonej, że zrywa związek i zamierza wyjść za jego najlepszego przyjaciela. Krzywdą emocjonalną, jaką takie

zachowanie może wyrządzić, jest – zgodzimy się chyba – olbrzymia. Co więcej, samym celem takiego zachowania może być nic innego, jak po prostu spowodowanie psychicznego szoku. Jakoś nie jest to karalne – i przychodzi komuś poważnie do głowy, by za coś takiego karać? Zdajmy sobie sprawę, że dla wielu ludzi czymś równie krzywdzącym, jak znieważające słowa (czy np. gesty) mogą być zachowania wyrażające lekceważenie, ignorowanie przez kogoś, postawy typu „nie znam cię”, wykazanie ignorancji w jakiejś dziedzinie (w odniesieniu do której wydaje się komuś, że się na niej zna) – co trudno przecież uznać za karalną zniewagę. Po trzecie wreszcie samo pojęcie zniewagi jest bardzo niedookreślone i podatne na subiektywne – a zatem różne – interpretacje przez poszczególnych prokuratorów, czy sędziów. Choć przepisy przewidujące kary za znieważanie istnieją w Polsce od co najmniej dziesiątków lat, w literaturze przedmiotu do dzisiaj – jak w jednym z wyroków stwierdził Trybunał Konstytucyjny – „nie ma ani pełnej zgody, ani jednoznaczności co do tego, jak rozumieć pojęcie zniewagi”.

[21] O wprowadzeniu (i wcześniej propozycji wprowadzenia) tego przestępstwa do kodeksu karnego pisałem krytycznie w tekstach [„Artykuł 255a kodeksu karnego – kolejne bezsensowne ograniczenie wolności słowa”](#) (umieszczonym [też na Salon24](#)) i [„Paragrafem w ułatwiający terroryzmu?”](#). W publikacjach tych pisałem także o tym, jakie przypadki prezentowania innym osobom treści „mogących ułatwić popełnienie przestępstwa o charakterze terrorystycznym” (w postaci np. instrukcji budowy bomb) mogłyby w sposób zasadny być traktowane jako czyn karalny.

[22]. Ktoś niezwiązany obowiązkiem zachowania tajemnicy państwowej z racji wykonywanego zawodu mógłby ewentualnie odpowiadać za rozpowszechnienie informacji stanowiącej taką tajemnicę wówczas, gdyby wynikało z tego jakieś wielkie i bezpośrednie niebezpieczeństwo i z wywołania tego niebezpieczeństwa w pełni zdawałby on sobie sprawę. Zob. w tej kwestii artykuł Geoffrey’a R. Stone’a (profesora Uniwersytetu w Chicago) [Government Secrecy v. Freedom of Press](#).

[23] Przepisy przeciwko „hate speech” w stylu (mniej więcej) artykułów 256 i 257 polskiego kodeksu karnego występują nie tylko w Europie – są one znane ustawodawstwom wielu innych krajów świata, takich, jak Indie, Kanada, państwa Afryki i Ameryki Łacińskiej, Australia, Nowa Zelandia, czy Izrael (według mojej wiedzy nie ma ich natomiast w Japonii). Warto zauważyć, że pewne postanowienia prawa międzynarodowego – takie, jak art. 20 ust. 2 [Międzynarodowego Paktu Praw Politycznych i Obywatelskich](#) z 1966 r., w myśl którego „wszelkie propagowanie narodowej, rasowej lub religijnej nienawiści, stanowiące podżeganie do dyskryminacji, wrogości lub przemocy, powinno być zakazane przez prawo” i art. 4a uchwalonej w 1965 r. [Międzynarodowej Konwencji w Sprawie Likwidacji Wszelkich Form Dyskryminacji Rasowej](#), zobowiązujący państwa – strony tej konwencji do uznania za przestępstwo „wszelkiego rozpowszechniania idei opartych na wyższości lub nienawiści rasowej” nie tylko, że dopuszczają, ale wręcz nakazują wprowadzenie zakazów „mowy nienawiści” do wewnętrznego porządku prawnego państwa. (Na temat historii tych przepisów zob. artykuł Jacoba Mchangamy [„The Sordid Origin of Hate – Speech Laws”](#)).

Europejski Trybunał Praw Człowieka, a do 1998 r. Europejska Komisja Praw Człowieka – które poza przypadkiem sprawy [Jersild przeciwko Danii](#) konsekwentnie odrzucały skargi osób skazanych za przestępstwa tego rodzaju, co nawoływanie do nienawiści przeciwko jakiejś grupie narodowościowej, rasowej, bądź (np.) religijnej, propagowanie faszystów, czy negowanie Holocaustu (lub nawet nie tyle Holocaustu jako takiego, lecz pewnych jego konkretnych aspektów – np. masowego mordowania Żydów w komorach gazowych) znalazły inną podstawę prawną do uznania, że „mowa nienawiści” nie jest chroniona przez art. 10 ust. 1 europejskiej [Konwencji o Ochronie Praw Człowieka i Podstawowych Wolności](#) z 1950 r. (gwarantujący prawo do swobody wypowiedzi): art. 17 tejże konwencji, zgodnie z którym *„żadne postanowienie niniejszej Konwencji nie może być interpretowane jako przyznanie jakiegokolwiek państwu, grupie lub osobie prawa do podjęcia działań lub dokonania aktu zmierzającego do zniweczenia praw i wolności wymienionych w niniejszej Konwencji albo ich ograniczenia w większym stopniu, niż to przewiduje Konwencja”*. W szczególności ETPC aprobował na tej podstawie karanie za wypowiedzi kwestionujące ustalone fakty historyczne – np. mordowanie Żydów w komorach gazowych w Oświęcimiu (zob. w tej kwestii np. [orzeczenie w sprawie Garaudy v. France](#)).

Czy takie uzasadnienie zakazów czy to „hate speech” w ogóle, czy np. tzw. „kłamstwa oświęcimskie” w szczególności jest jeśli nie merytorycznie, to przynajmniej formalnie przekonywujące? Mam na ten temat spore wątpliwości. Po pierwsze, można zadać pytanie o to, czy ktoś, kto – jak wspomniany [Roger Garaudy](#) – publicznie twierdzi, że Żydzi w Oświęcimiu nie ginęli w komorach gazowych na pewno chce zrehabilitowania, i – w domyśle przynajmniej – przywrócenia (czy wprowadzenia) Narodowego Socjalizmu, a wraz z nim terroru, dyskryminacji rasowej i oczywiście ograniczenia praw i wolności wymienionych w Europejskiej Konwencji Praw Człowieka w stopniu co najmniej większym, niż rzeczona Konwencja to dopuszcza? Chciałbym zauważyć, że np. skrajnym tradycjonalistom religijnym, którzy umniejszają zbrodnię Inkwizycji nie przypisuje się raczej poważnego zamiaru przywrócenia tortur czy palenia na stosach heretyków i/lub kobiet oskarżonych o czary. Ktoś negujący istnienie komór gazowych w Oświęcimiu może oczywiście chcieć przywrócenia faszystów, ale chęci takiej nie można mu w sposób uczciwy przypisać wyłącznie na podstawie negacji tego akurat - nie twierdzą bynajmniej, że mało ważnego (jak wyraził się francuski skrajnie prawicowy polityk [Jean Marie LePen](#)) - aspektu Holocaustu.

Po drugie, gdyby ktoś nawet naprawdę chciał zniweczenia praw i wolności gwarantowanych przez Europejską Konwencję Praw Człowieka i nawet jawnie wzywał do ich zniweczenia, to osiągnięcie takiego celu jest czymś z natury odległym (i niepewnym). Wyłącznie werbalne (czy symboliczne) działania mające na celu zniweczenie jakichś praw i wolności nie są więc i nawet nie mogą być czymś, co stwarza bezpośrednie niebezpieczeństwo dla tychże praw i wolności. Wypowiedzi zmierzające do „zniweczenia praw i wolności” są (jeśli nie zachęcają one do przemocy i nie powodują bezpośredniego niebezpieczeństwa jej wzniecenia) czymś, do czego odnosi się myśl sędziego Sądu Najwyższego USA Louisa Brandeisa, wyrażona przez niego w jego słynnej opinii w sprawie [Whitney v. California](#) (1927): *„żadne niebezpieczeństwo wynikające z wypowiedzi nie może być uznane za bezpośrednie i wyraźne, chyba, że zagrożenie to jest tak bliskie, że może się ono zrealizować zanim zaistnieje*

możliwość pełnej dyskusji. Jeśli jest czas na wyeksponowanie poprzez dyskusję zwodniczości i fałszów, na odwrócenie zła poprzez proces edukacji, remedium, jakie należy zastosować, jest pomnożenie wypowiedzi, a nie narzucone milczenie. Tylko nagle niebezpieczeństwo (emergency) może usprawiedliwiać represje. Taka musi być zasada, jeśli władza ma być do pogodzenia z wolnością.”

Po trzecie wreszcie, jest tu też kwestia konsekwencji. O islamie mówi się często, że tak naprawdę jest on nie po prostu religią, jak choćby chrześcijaństwo, lecz totalitarną w istocie rzecz doktryną religijną – polityczną – społeczną – zmierzającą do podporządkowania wszelkich aspektów życia publicznego i życia jednostki surowym nakazom wiary. O kimś, kto rozpowszechnia Koran w celu przekonania innych do treści w nim zawartych, lub o kimś, kto bezpośrednio usiłuje nawracać ludzi na islam z co najmniej równym prawdopodobieństwem, jak o kimś, kto np. neguje komory gazowe w Oświęcimiu można powiedzieć, że dokonuje on aktu zmierzającego do zniweczenia praw i wolności zawartych w Europejskiej Konwencji Praw Człowieka (lub przynajmniej ograniczenia tych praw i wolności w stopniu większym, niż owa Konwencja to dopuszcza). Jak była tu już jednak mowa (zob. przypis 9) w państwach europejskich nie tylko, że nie zabrania się rozpowszechniania Koranu (i nawracania na islam), to nawet nie słysząc jakichś poważnych propozycji, by tego zabronić. Biorąc pod uwagę to, jak potencjalnie niebezpieczną i groźną dla wolności jednostki ideologią jest islam (o czym znakomicie [mówi Jean Alcaider](#)) i to, że propagowanie tej ideologii jest w krajach europejskich mimo wszystko tolerowane prawnie (i słusznie!), czym wręcz dziwnym wydaje się zakazywanie nawet nie wzywających do przemocy (czy choćby usprawiedliwiających przemoc) wypowiedzi skierowanych przeciwko takim lub innym grupom narodowościowym, rasowym, czy religijnym – bądź wypowiedzi kwestionujących ustalone fakty historyczne (takich, jak stwierdzenia negujące Holocaust) – w oparciu o argumenty, że wypowiedzi te mogą się pośrednio przyczyniać do przemocy (mnóstwo wypowiedzi, których mało kto chciałby zakazać, może) lub, że zmierzają one do zniweczenia praw i wolności gwarantowanych przez Europejską Konwencję Praw Człowieka – co Europejski Trybunał Praw Człowieka uznał za powód do zakazania takich wypowiedzi.

[24] Warto zwrócić uwagę, że według badań wspomnianej ADL liczba Amerykanów wykazujących postawy antysemickie zmniejszyła się w latach 1964 – 2013 z 29% do 12%. Natomiast w Europie badania przeprowadzone przez ADL w roku 2012 wykazały wzrost postaw antysemickich w 9 na 10 krajów, porównując z wynikami takich badań w 2009 r. W świetle tych badań postawy antysemickie wykazywało od 15% do 64% populacji tych krajów. Zob. w tej kwestii artykuł Jacoba Mchangamy [„How \(Not\) to Fight Racism and Anti-Semitism”](#). Nie od rzeczy będzie też wspomnieć, że według opublikowanego w listopadzie 2013 r. [raportu na temat przestępstw i dyskryminacji przeciwko Żydom w krajach członkowskich UE](#) (którego opracowanie polegało na przeprowadzeniu ankiet wśród 5874 żydowskich respondentów w dziewięciu krajach członkowskich UE – Belgii, Francji, Łotwie, Niemczech, Rumunii, Szwecji, Węgrzech, Wielkiej Brytanii i Włoszech) wynika, że w ciągu roku poprzedzającego przeprowadzenie ankiety 4% (średnio rzecz biorąc – np. w Niemczech było to 4%, we Francji 6%, a w Belgii 7%) z tych respondentów padło ofiarą przemocy bądź gróźb przemocy wywołujących przerażenie, a 26% stało się ofiarami różnego rodzaju form

dreńczenia, związanych z tym, że są oni Żydami. Warto porównać to z danymi na temat antysemickich przestępstw w USA. W [publikacji ADL na ten temat](#) można przeczytać, że w roku 2012 odnotowano w Stanach Zjednoczonych łącznie 927 motywowanych nienawiścią rasową bądź religijną przestępstw przeciwko Żydom – notabene o 14% mniej, niż w roku wcześniejszym. Wśród przestępstw tych było 470 przypadków gróźb i dreńczenia, 440 przypadków wandalizmu i 17 przypadków przemocy fizycznej. Biorąc pod uwagę, że w Stanach Zjednoczonych żyje 5 425 000 Żydów, liczba tych Żydów, którzy w 2012 r. padli ofiarą jakichkolwiek przestępstw o podłożu antysemickim stanowiła nieco ponad 1/6 promila żydowskiej populacji w USA.

[25]. Zob. [decyzję węgierskiego Trybunału Konstytucyjnego w sprawie 18/2004](#) (oraz [skrótowe omówienie decyzji w sprawie 95/2008](#)) i artykuł Petera Molnara „Towards Improved Law and Policy on ‘Hate Speech’— The ‘Clear and Present Danger’ Test in Hungary”. Piszę, że węgierskie rozwiązania w kwestii „hate speech” przynajmniej do niedawna przypominały te znane z USA, gdyż ust. 4 i 5 uchwalonej w marcu 2013 r. [IV Poprawki do Konstytucji](#) – zgodnie z którymi prawo do wolności słowa nie może być wykorzystywane w celu naruszania ludzkiej godności innych osób, godności Narodu Węgierskiego, bądź jakiegokolwiek społeczności narodowej, etnicznej, rasowej lub religijnej – wydają się przekreślać wspomniane decyzje węgierskiego T.K. i zezwalać na szerokie – w stylu np. polskiego art. 257 k.k. – regulacje prawne „mowy nienawiści”.

[26] Zakaz ten został zniesiony przez rząd Bawarii po tym, jak naziści rozpowszechnili portret zakneblowanego Hitlera z napisem: „jeden, jedyne człowiek z 2000 milionów ludzi na świecie ma zakaz mówienia w Niemczech”. Zob. w Anuj C. Desai: [“Attacking Brandenburg with History: Does the Long-Term Harm of Biased Speech Justify a Criminal Statute Suppressing it?”](#)

[27]. Na temat tych zakazów zob. [publikację Amnesty International](#).

[28] Odnośnie „Kangury” i jej udziału w przyczynieniu się do ludobójstwa w Rwandzie zob. artykuł C. Edwina Bakera [„Genocide, Press Freedom, and the Case of Hassan Ngeze”](#). Zob. też tego autora [„Hate speech”](#).

[29]. Informacja za artykułem [Nadine Strossen](#) „Dlaczego ocenzurowanie pornografii nie zmniejszyłoby dyskryminacji kobiet, ani przemocy wobec nich” opublikowanym w „Kobiety, mężczyźni i płęć” – praca zbiorowa pod redakcją Mary Roth Walsh, wyd. IFiS PAN, Warszawa 2003.

[30]. Zob. opinię sędziego [Franka H. Easterbrooka](#) w sprawie [American Booksellers v. Hudnut](#) (dotyczącą pornografii).

[31]. Zob. opinię sędziego [Alvina B. Rubina](#) w sprawie [Diane Herceg v. Hustler Magazine](#)

[Strona główna](#)